Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 50 (1201) ROK XXIII 14 GRUDNIA 1980 r. CENA 3 ZŁ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# NARODZINY

## (Z NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI – I)

Wydarzenia historyczne można traktować w sposób okazjonalny, rocznicowy i tak najczęściej robimy. Mija jakaś okrągła data od tego czy innego wydarzenia historycznego, więc wiele się na ten temat pisze i mówi. Okrągła rocznica mija, dany fakt historyczny odchodzi w cień, ustępując miejsca innemu. Dzięki takiemu podejściu do historii może sie ona jawić jako jeden ciąg rocznic, oderwanych od siebie faktów, które się kiedyś zdarzyły i które dziś trzeba czcić. Robi się więc w szkołach apele z okazji, w zakładach pracy akademie z okazji, w gazetach pisze się przy okazji, telewizia nadaje programy przy okazji, mówi się o tym również w radio. A przecież historia jest procesem ciągłym, trwa nieprzerwanie i owe różne fakty i wydarzenia, które stwarzają okazję do kolejnego obchodu kolejnej rocznicy, warto czasem dostrzec w historycznym kontekście, w procesie stawania się naszych ojczystych dziejów, warto czasem zastanowić się nad ich wpływem dla tego, co dziś się dzieje.

W grudniu i styczniu zbiega się kilka rocznic z najnowszej historii Polski, z dziejów polskiego ruchu robotniczego:

— **15 grudnia mija 32 rocznica** rozpoczęcia obrad Kongresu Zjednoczeniowego polskich partii robotniczej i socjalistycznej i powstania Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Kongres ten obradował do 21 grudnia 1948 roku;

— **6 grudnia minęła 35 rocznica** zwołania I Zjazdu Polskiej Partii Robotniczej. W dziejach powojennych polskiego ruchu robotniczego jest to data istotna, gdyż uchwały I Zjazdu PPR wytyczały politykę społeczną i gospodarczą rodzącej się Polski Ludowej. I Zjazd PPR obradował w Warszawie do 13 grudnia 1945 roku;

— **5 stycznia 1981 roku minie 38 rocznica** powstania Polskiej Partii Robotniczej, a **1 marca 1981 roku** — 37 rocznica ukazania się Deklaracji Programowej PPR „O co walczymy?"

Jeśli splot kilku rocznic nie okrągłych wcale, jakie przypadają na przełomie grudnia i stycznia skłonił mnie *do zastanowienia się nad fragmentami naszych dziejów*, to zamiast omawiania tych wydarzeń każdego z osobna proponuję ukazanie ich w pewnym ciągu chronologicznym, w naturalnym procesie historycznym.

Trzeba zatem zacząć od powstania Polskiej Partii Robotniczej 5 stycznia 1942 roku.

I.

W styczniu 1939 roku zbiera się w Paryżu **Grupa Inicjatywna do Spraw Polskich Międzynarodówki Komunistycznej**, której zadaniem jest odbudowa partii komunistycznej w Polsce

**Dalszy ciąg na str. 3**

*Foto: R. Łucyszyn*

RYSZARD BINKOWSKI

# LICYTACJA PGR?

Latem 1956 r. słuchałem codziennie wspaniałej piosenki pt. *„Hej, wy, konie, rumaki stalowe"*. W świetlicy jednego z PGR w powiecie Stargard Szczeciński była tylko jedna płyta gramofonowa. A ja byłem jednym z dzielnych ochotników brygady żniwnej, która w starych, przepoconych mundurach SP, często spragniona, zakatarzona, cała w czyrakach, stawiała snopki na polach PGR, miażdżyła obcasami stonkę, nasłaną przez kapitalizm i wyrywała na akord ogniche z eksportowych ziemniaków. Mało chyba było tych „rumaków stalowych", a jeszcze mniej ludzi, bo chociaż przez cały sierpień stawialiśmy snopki, to gdyśmy odjeżdżali do Łodzi, na polach stały jeszcze mendle i wielkie łachy nie zżętych zbóż. Nie było słodko i radośnie. Wysłannik PUPB, w oficerkach, z psem u nogi, robił nam pogadanki o świetlanej przyszłości. Nie mówił, że jeszcze w tym czasie w Olsztyńskiem traktorzyści ginęli na minach.

Jeżeli na samym początku było źle i pegeery jechały na deficycie, to można by się zastanawiać, czy dopiero dzisiaj trzeba występować w obronie chłopów? Czy już w roku 1945 nie należało podzielić całej ziemi obszarniczej między chłopów? Ano nie, bo wówczas mielibyśmy samych wrogów socjalizmu, czyli kułaków, których trzeba byłoby likwidować w okresie kolektywizacji. Odkładając jednak na bok złośliwe niuanse, trzeba stwierdzić, że spragnione ziemi chłopstwo nie byłoby w stanie zagospodarować wszystkich gruntów. Kraj był wyniszczony biologicznie, ludności mało, a w dodatku trzeba było budować przemysł, w związku z czym nasiliła się migracja do miast. Najmniej rąk do pracy było na Ziemiach Odzyskanych, gdzie w rolnictwie dominowała najwyższa kultura agrarna. Wiem, że znajdę wielu oponentów tym niemniej ośmielę się stwierdzić, że gdy tam znaleźli się repatrianci z ziem żyznych, które pięknie plonowały, wystarczyło bowiem wrzucić w glebę ziarno, by wyrosła pszenica, to teraz sprawa nie była już taka łatwa. Nowe ziemie wymagały troski, pielęgnacji, skomplikowanych zabiegów agrotechnicznych, na wielkich obszarach nie można już było robić żniw sierpem. Ludzie osiedli tutaj nie potrafili tego. Nie byli to tylko osadnicy wiejscy. Znaleźli się tam również pracownicy pegeerów, które musiały powstać przede wszystkim na ziemiach zachodnich i północnych. Taką sytuację wytworzyła historia, sprawiedliwość dziejowa.

W miarę upływu lat, gdy środki produkcji kierowano głównie do sektora państwowego, niszcząc jednocześnie gospodarkę chłopską, chociażby poprzez kolektywizację, PGR okrzepły. I przestały się „zamykać": dzisiaj rolnicy mogą korzystać z ich doświadczeń, z ich świetlic, klubów, zespołów artystycznych, żłobków i przedszkoli. Wzrosła także hodowla i plony, a żeby było ładniej, niektórzy decydenci, pod osłoną PGR, wybudowali sobie domki myśliwskie,

**Dalszy ciąg na str. 5**

BOGDA MADEJ

# SIERADZKIE PIRAMIDY

Był jeszcze słoneczny listopad, kiedy wybrałam się do Sieradza. Niby to niedaleko, a przecież świat jakby inny, ciekawszy przez różny wymiar spraw i problemów. Na ogół mawiało się zwykle: — Sieradz, województwo małe, ale rolnictwem silne.

Licho mnie podkusiło, aby zatrzymać się w „Zajeździe Na Pół Boru". Może to nawet nie było licho, a logika nakazująca myślec schematycznie, że skoro województwo rolnicze, wystawne zajazdy pobudowano, to jeść dobrze w tych zajazdach dają.

„Zajazd Na Pół Boru" elegancki. Chłodno w nim, głodno i drogo. Pusto poza tym. Dla kogo go zbudowano? Dla kierowców ruchliwej „E-12"? Wątpię. Ceny tu nie na szoferską kieszeń. Ceny noclegów również. Więc chyba dla turystów jadących tędy luksusowymi samochodami na południe Polski. Czy może dla turystów z Łodzi, którzy wybierają się w pogodną niedzielę, aby pooddychać leśnym powietrzem?

Z zajazdu wyjeżdżam z przekonaniem, że sieradzkie to bogate województwo, choć karmi fatalnie w swoich zajazdach. Podejrzewam też, że kierowcy samochodów ciężarowych, przejeżdżający przez to województwo, szukają raczej skromnych wiejskich gospód, gdzie pożywią się lepiej i taniej.

W „Polityce" z 8 listopada 1980 roku znalazłam następującą notatkę:

„Zawrotne tempo budowy wieżowca przeznaczonego dla biur Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu notują dziennikarze PAP. Tempo to prawdopodobnie bierze się stąd, iż chodzi o to, aby ten „niewypał budowlany" zakończyć możliwie jeszcze przed 15 listopada, to jest terminem składania wykazów obiektów objętych ostatnim zarządzeniem prezesa Rady Ministrów o wstrzymaniu budowy obiektów administracyjnych. Dodać trzeba, iż budowa ta od początku budzi poważne kontrowersje w społeczeństwie".

Mam szczęście. Tego dnia akurat w Sieradzu i Zduńskiej Woli gości poseł tego regionu, naczelny redaktor „Polityki" —

**Dalszy ciąg na str. 4**

Chciałabym mieszkać w mieście, w którym wszyscy studenci mają dach nad głową i talerz ciepłej strawy, i w którym te elementarne potrzeby młodzieży traktowane są jako rzecz naturalna. Chciałabym wreszcie mieszkać w mieście, w którym zdeterminowani studenci i pracownicy dydaktyczni nie muszą składać w tych sprawach petycji u prezydenta miasta, a dziennikarze pisać artykułów.

W petycji złożonej na ręce wiceprezydenta Z. Polita, podpisanej przez Niezależne Zrzeszenie Studentów w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, młodzież i pracownicy dydaktyczni tej uczelni domagają się rozwiązania potrzeb bytowych studentów, w których brak rozwiązania do tej pory nie mogą wprost uwierzyć osoby stojące z dala od problemów uczelni. Bo też trudno je przekonać, iż prawdą jest fakt, że 25 studentów tej szkoły od początku roku akademickiego pozostaje bez dachu nad głową.

Prawdą jest również, iż PWSSP do dnia dzisiejszego nie ma własnego akademika, a jej studenci korzystali z uprzejmości uniwersytetu i politechniki. Do niedawna wprawdzie uczelnie artystyczne dysponowały starą ruderą przy ulicy Karolewskiej, jednakże po ostatnim wypadku, kiedy to pękły tam piece i lokatorom groziło zaczadzenie — budynek przeznaczono na magazyn.

W październiku br. uczelnia potrzebowała 99 miejsc w domu studenckim. Tymczasem Politechnika Łódzka mogła od-

MAŁGORZATA GOLICKA

# PETYCJA

stąpić tylko 66 miejsc w V DS na osiedlu Lumumby. 27 osób postawiono przed koniecznością znalezienia na własną rękę mieszkania. Część studentów wynajęła prywatne kwatery w mieście. Dodam, że z wielkim trudem, gdyż właściciele mieszkań jak ognia boją się muzyków i plastyków. Pierwsi zakłócają ciszę grą na instrumentach, drudzy wypalają moc światła, brudzą farbami łazienkę i znoszą do domu wiele dziwnych rzeczy.

Niektórym bezdomnym kolegom — plastykom, pomagają koledzy. Żaden z nich jednak nie wyda, w którym pokoju akademika „waletują" goście. Część nadal dojeżdża do szkoły z Koluszek, Zgierza, a nawet z Warszawy. Nie zazdroszczę im tych podróży, zwłaszcza teraz, kiedy zaczynają się mrozy, nie zazdroszczę straty czasu, który można by znacznie lepiej wykorzystać.

**Autorzy petycji słusznie domagają się określenia terminu zakończenia adaptacji budynku przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Żwirki, przeznaczonego na akademiki dla szkół artystycznych.** Byłam na budowie dwukrotnie, podobnie jak fotoreporter „Odgłosów" i nic nie wskazuje na to, aby budynek był gotowy na przyjęcie studentów w styczniu przyszłego roku, jak to obiecywał na początku roku akademickiego poprzedni I sekretarz KŁ PZPR. (Jeszcze jeden przykład obietnicy bez pokrycia, czy też arogancji władzy?). Budynek ten, położony w znacznej odległości od PWSSP i podzielony między trzy uczelnie nie będzie rozwiązaniem najlepszym na jutro. Jest jednak najlepszym rozwiązaniem dzisiaj. Do czasu ukończenia adaptacji studenci żądają dla swoich kolegów kwater zastępczych i to od zaraz, w cenie nie przekraczającej opłaty za miejsce w DS. Ceny kwater prywatnych, nawet z 300-złotową dopłatą ze strony uczelni, czy organizacji studenckiej, są dla większości studentów uczelni artystycznych zbyt wygórowane. Na zakup niezbędnych do pracy materiałów, z których sprowadzaniem uczelnia ma coraz większe kłopoty — młodzież wydaje przeciętnie 1000 zł miesięcznie. Jeśli do tego dodamy opłatę za wynajęcie mieszkania (ceny pokoi prywatnych sięgają 2000 zł i więcej), wówczas na jedzenie, ubranie i inne niezbędne młodemu człowiekowi wydatki zostają przysłowiowe grosze.

W pkt. 5 petycji, żądania autorów sprowadzają się (w tym miejscu maszyna do pisania rumieni się ze wstydu, ale nie za studentów broń Boże), stworzenia im możliwości zjedzenia obiadu. Wspaniała bowiem szkoła — Mister Województwa Łódzkiego w 1978 r. — została zaprojektowana bez stołówki, jedynie z małym bufetem. W rezultacie 400 studentów i pracowników szkoły skazanych jest przez cały dzień na przymusową dietę odchudzającą, a prawdę mówiąc głodówkę. W pobliżu szkoły nie ma bowiem

**Dalszy ciąg na str. 8**

# AKTUALNOŚCI

**14 GRUDNIA BR.** odbędzie się w Teatrze Nowym premiera „Uciech staropolskich". Na sztukę złoży się osiem intermediów, tańce i pieśni wybrane ze skarbca naszej kultury narodowej XVI i XVII wieku, głównie z jej nurtu plebejskiego.
Intermedia czyli krótkie „międzyakty", żywe, komediowe scenki służące w tamtych czasach do oddzielania poszczególnych aktów dramatu, do zmiany nastroju widowni, tu pełnią rolę szczególną: tworzę bowiem pełnowymiarowy spektakl, zachowując cały urok i piękno wszystkich elementów staropolskiej kultury: wyrazistego, barwnego, często dosadnego języka, żywych melodyjnych pieśni i piosenek oraz tańca w całym jego ówczesnym bogactwie. I dodać do tego należy rzecz najważniejszą: zawartą w wielu z tych „Uciech" zadziwiającą mądrość ich autorów, bezbłędną znajomość naszych powszechnych wad narodowych, gorzkie, choć często w arcyzabawnej formie podane, odwieczne prawdy o przyczynach klęsk i niepowodzeń, którym sami sobie jesteśmy winni, a którym przyjrzenie się dziś będzie zarazem znakomitą, bo żywą, barwną lekcją historii.

**W SZCZECINIE** zakończył się X Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego. Wśród laureatów znaleźli się dwaj łodzianie. Jan Trojan został wyróżniony nagrodą „Kuriera Szczecińskiego" a Jacek Bigoszewski uzyskał nagrodę TV — Szczecin. Ponadto na wystawie pokonkursowej prezentowane będą prace wielu łódzkich plastyków: Romy Hałat, Grzegorza Sztabińskiego, Zdzisława Waltera, Andrzeja Bartczaka, Marii Sadowskiej, Janiny Habdas, Pawła Markowskiego, Jana Hrycka, Krystyna Zielińskiego, Mariana Kępińskiego, Andrzeja Gieragi.

**JUŻ** 30 lat bardzo prężnie działa PZF. Tylko w okręgu łódzkim w ostatnim dziesięcioleciu zorganizowano wystawę filatelistyczną - ogólnopolską i osiem wystaw krajowych tematycznych i specjalistycznych, a także czternaście wystaw

# KRONIKA KULTURALNA

okręgowych. Wielu filatelistów łódzkich otrzymało najwyższe wyróżnienia na wystawach krajowych i zagranicznych.

**MIŁO** nam donieść, że tegorocznym laureatem Nagrody im. Gustawa Morcinka, fundowanej przez Zarząd Wydawnictwa Demokratycznego „Epoka" i Klub Pisarzy SD im. Bolesława Prusa został łódzki pisarz, Apoloniusz Zawilski, drugą równorzędną nagrodę otrzymał Henryk Worcell z Wrocławia.

**W SALONIE** Wystawowym Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego czynna jest, już 26 z kolei, doroczna wystawa członków ŁTF. Na wystawie swoje prace prezentuje aż 17 członków, z czego 11 do debiutanci.

**NIEZBYT** często można słuchać solistów kontrabasowych, ale miłośnicy tego instrumentu mieli tę okazję w piątek i sobotę, 5 i 6 listopada. W Filharmonii Łódzkiej występował jeden z najlepszych wirtuozów gry na tym instrumencie — Marian Nowakowski.

**JUŻ SIEDEMDZIESIĄT** lat liczy sobie Muzeum Przyrodnicze w Łodzi. W tej chwili placówka ma siedzibę w Zakładzie Biologii Ewolucyjnej Uniwersytetu Łódzkiego. W ciągu tych lat muzeum zgromadziło około 60.000 bezkręgowców i 1000 kręgowców i zorganizowało wiele interesujących wystaw, spełniając tym samym ważną rolę kształcącą w naszym mieście

**W KLUBIE DZIENNIKARZA** do połowy grudnia czynna będzie wystawa fotograficzna pt. „Wałęsa w Łodzi". Autorem ekspozycji jest tegoroczny absolwent Wydziału Operatorskiego PWSFTviT, Andrzej Wrzesień Inicjatorem wystawy jest powstała niedawno w środowisku łódzkich dziennikarzy Pracownia Reportażu „Jestem", której celem jest jak mówią jej członkowie „pokazanie dnia dzisiejszego naszego kraju i miasta, oddanie klimatu znaczących wydarzeń zachodzących aktualnie w Polsce, nie tylko za pomocą fotografii, ale także reportaży.

**MUZEUM MIASTA** Łodzi przygotowuje wystawy: „Magiel" (kultura materialna łodzian) „Twórczość Zenony Plonk" (ciało — tkanina — ślad) oraz Fotoplastykon, kabaret, koncert gwiazd telewizji, które wraz z dyskoteką złożą się na wieczór sylwestrowy. Zaproszenia i informacje: tel. 716-03.

W tym niezwykle barwnym i pełnym dynamiki widowisku bierze udział ponad 25 aktorów w kilkudziesięciu rolach, m. in. Anna Grzeszczak, Łucja Żarnecka, Bogdan Baer, Ludwik Benoit, Jerzy Chojnowski, Ryszard Dembiński, Jan Kasprzykowski, Janusz Kubicki, Bogusław Semotiuk, Ryszard Stogowski.

W „Uciechach" wszystkie kostiumy zostały przygotowane wg projektów Andrzeja Stopki. Dekoracje przygotował Jan Polewka, układ tańców — Wanda Szczuka, opracowanie muzyki — Jerzy Dobrzański.

**JURY TEGOROCZNEGO** Konkursu Poetyckiego „Czerwonej Róży" w składzie: Roman Śliwonik, Marian Grześczak, Krzysztof Karasek, Marek Wawrzkiewicz, Jerzy Leszin-Koperski, Andrzej K. Waśkiewicz, Mieczysław Czychowski Kazimierz Nowosielski i Eugeniusz Kupper przyznali następujące nagrody: nagrodę pierwszą „Czerwonej Róży" — Krzysztofowi Kuczkowskiemu, pierwsze wyróżnienie — Katarzynie Michalewskiej, drugie wyróżnienie — Stanisławowi Gostkowskiemu, nagrodę specjalną — „Bogi Gdańskiej" Zenonowi Dunajczykowi. Jury bez Mariana Grześczaka i Krzysztofa Karaska przyznało także nagrody symboliczne „Czerwonej Róży" Nagrodę „Pierścienia" — za całokształt twórczości poetyckiej Zbigniewowi Jerzynie, nagrodę „Pióra" — za całokształt pracy krytycznej w dziedzinie poezji — Stanisławowi Barańczakowi; nagrodę „Pelerytny" za najciekawszy debiut roku 1980 za tom wierszy — „Z pozoru cisza" Romanowi Chojnackiemu; nagrodę „Pegaza" za tłumaczenia w dziedzinie poezji Adamowi Pomorskiemu.

# CZASY CIEKAWE CZASY TRUDNE

## 1.

*Ani chybi, uwziął się na nas jakiś starożytny Chińczyk. Jak powszechnie wiadomo, ci ludzie Wschodu życzyli swoim wrogom, aby musieli żyć w ciekawych czasach. No i mamy za swoje. Na co jak na co, ale na nudę narzekać nie możemy, pod tym względem rzeczywistość odrabia zaniedbania całych dziesięciolatek, huśtając naszymi nastrojami od łzawych melodramatów, po mrożące krew w żyłach thrillery.*

*Jak jest? Któż to wie. Tak na oko, spokojnie. Ludzie na ulicach, w kolejkach, wyglądają jakby każdy, solidarnie, zaaplikował sobie relanium. Być może jest to sprawa obniżonego poziomu energetycznego naszych organizmów (ostatecznie kalorii spożywamy mniej, a zimne wiatry, to wschodnie, to zachodnie, ciągle dują), sądzę jednak, że bardziej się do tego przyczynia fakt, że wyładowują się ludzie pisząc listy, rezolucje, memoriały, polemiki do gazet, a i donosy, dochodząc swych racji na zebraniach. O 19.30 ulice jak wymiecione, jakby to był mecz na Wembley, a to tymczasem tylko DTv. Coraz też częściej targa, krajową już energetyką, godzina 19.10, kiedy to włącza się wiadomości lokalne, tak do tej pory niepopularne.*

*Na oko więc spokój. A na ucho? Na ucho różnie, bardzo różnie. Różne rzeczy się słyszy. I prośby i groźby. Mimo usprawnienia krajowego systemu informacji, ciągle jeszcze w różnych wypadkach trudno dociec co prawdą jest, a co zmyśleniem, co faktem, a co pozorem faktu, prowokacją obliczoną na wywołanie przynajmniej niepokoju. Przynajmniej. Nie łudźmy się — nasz spokój, sam w sobie, także może być przyczyną nerwowości niektórych i gdzieniegdzie. Nasz spokój, to klęska przewidywań, że zawali się według nadziei jednych — odnowa, według drugich — ustrój. Im dokładniej i szybciej zdamy sobie sprawę z tego, tym będzie dla nas lepiej.*

*Dlatego też, tak mi się wydaje, robotnicy, którzy rozpoczęli dzieło odnowy, z tym większą troskliwością, z coraz większą — bo teraz chyba właśnie nadszedł, czy nadchodzi czas krytyczny — powinni dbać o to, aby nikt im go z rąk nie wydarł. Trzeba tu użyć słów ze starego słownika, takich jak ostrożność, czujność. Nie można stwarzać sytuacji, w której prowokację, taką jak faktyczne, czy rzekome przygotowanie pożaru w kopalni, faktyczny już demontaż szaf sterowniczych na Żeraniu, ułatwia po prostu brak dozoru. Zbyt wiele sił chce wywołania iskry, abyśmy mogli też zaprzestać czuwania nad łatwopalnym materiałem, jakim sami jesteśmy.*

*A więc ostrożność, czujność. I spokój, spokój na przekór wszystkiemu, spokój i rozwaga, oczy dookoła głowy.*

## 2.

*VI Plenum, VII Plenum, świadczą o tym, że do ofensywy ruszyła partia. Wiele aspektów ostatniego plenarnego posiedzenia KC PZPR omówione już zostało w prasie codziennej, w radiu i telewizji, zatrzymam się więc tylko nad jednym z nich — nad pociągnięciami personalnymi, świadczącymi o woli partii zerwania z ludźmi z jej ośrodków kierowniczych, którzy doprowadzili kraj nad krawędź przepaści. Rozliczenia powinny zostać przeprowadzone godnie i sprawiedliwie. Trudno tu jednak powstrzymać się od słów goryczy, wywołanej nie chęcią pastwienia się — jakoś to nie leży w naszej, Polaków, naturze — lecz refleksją nad tym, jakim nasz kraj mógłby być dzisiaj, Anno 1980, mimo wszystkich światowych kryzysów i klęsk nieurodzaju, gdybyśmy za sprawą naszych nieudolnych przywódców politycznych, ministrów, nie przeputali dużej części z owych pozyczonych miliardów dolarów, gdyby ci nasi przywódcy umieli słuchać ludzi mądrych i przewidujących, gdyby owi ludzie mądrzy i przewidujący umieli, mieli odwagę, rąbnąć kiedy trzeba pięścią w stół (niektórzy, ale, niestety, niewielka i mało przez to znacząca ich część, to czynili), krzyknąć na cały głos, że droga wiedzie ku katastrofie*

*Jakim mógłby być nasz kraj widać po tym, czego jednak, mimo usiłowań, nie przeputaliśmy. Bądźmy obiektywni, każdy z nas, w swoim otoczeniu, bez trudu dostrzeże coś, inwestycję jedną i drugą, zakład przemysłowy, osiągnięcie naukowe, czy artystyczne, coś, czego nie musimy się wstydzić. Tym bardziej to jednak pogłębia gorycz. I zmusza do wyciągnięcia kategorycznych wniosków. Polityki nie można oddawać do rąk ludziom bez wyobraźni, wyhodowanym w cieplarnianych warunkach potakujących audytoriów: politycy muszą rosnąć w sporach, uczyć się na racjach, a nie chęciach, dawać gwarancje, a nie obietnice. Słyszę gdzieniegdzie, że robotnicy zbyt bezceremonialnie poczynają sobie w dyskusjach z władzą, łapią ją za każde słowo, bez gwarancji, nie wierzą. Być może, niekiedy, jest to zbyt bezceremonialne, kanciaste; oglądałem jednak film „Robotnicy — 80", w którym ten proces wzajemnego dopasowywania się robotników i władzy, dogadywania się, uzgadniania i wreszcie — porozumiewania, stał się sam w sobie nową, piękną jakością. Tego się po prostu trzeba uczyć. Obustronnie. Ten nowy, dla wielu szokujący jeszcze obyczaj polityczny — ów spór o wspólne jednak dobro, bo o kraj, powinien stać się trwałym elementem naszego życia politycznego. I to nie tylko na wysokich szczeblach.*

*To jest wniosek z ostatniego dziesięciolecia.*

## 3.

*Ledwie zakończyłem poprzednie zdanie, zgasło światło. Radykalne cięcie. Teraz znów się pali, zastanawiam się, co dało to wyłączenie. Energetyk odpowie, że owszem, w szerszej skali... A ja się przez ten czas zastanawiałem, czy nauczyliśmy się już myśleć radykalnie, do końca; dostosować nasze myślenie do sytuacji. Sytuację mamy wyjątkową, więc i nasze myślenie powinno być takie, dostosowane do sytuacji.*

*Powiedzmy — właśnie energetyka. W chwili gdy to piszę, jest późny wieczór, w jednym z zakładów włókienniczych pracuje trzecia zmiana. Wiem, że nie mają surowca na trzy zmiany, przy pełnej obsadzie starcza go ledwo na dwie, pytam więc, po cóż zakład pracuje o tej porze. Ludzie by sobie pospali, odpoczęli, energii by się zaoszczędziło więcej, niż wyłączając prąd w mieszkaniach.*

*Idźmy jednak dalej. Być może warto by szybko policzyć w skali kraju czego nam teraz najbardziej potrzeba, co jest absolutnie niezbędne, a bez czego jakoś tam, od biedy, moglibyśmy się obejść. Podliczyć szybko możliwości energetyczne, surowcowe, transportowe, nasze zobowiązania eksportowe, a i ewentualne komplikacje kooperacyjne i zdecydować się na radykalne cięcia — czasowe zamknięcie niektórych fabryk, a być może i całych przemysłów w tym najtrudniejszym okresie. Oczywiście, komplikacje — co z załogami, co z ich zarobkami. Ale może i tu znalazłoby się rozwiązanie — skierowanie części załóg do prac pomocniczych w innych, newralgicznych dla nas zakładach, do pomocy handlowi itd., itp.?*

*Rzucam te idiotyczne, być może, a na pewno laickie pomysły, na żer ironistów. Ale, być może, zapłodnią one kogoś, na zasadzie trustu mózgów, do zastosowania na ich podstawie rozwiązań sensowniejszych. O jednym jestem przekonany: rutynowe myślenie w tych ciekawych czasach nie na wiele się zda. Gdy zaczniemy myśleć inaczej, może się nam uda przechytrzyć starożytnych Chińczyków.*

JERZY KATARASIŃSKI

# TYDZIEŃ W POLITYCE

Moskiewski szczyt przywódców państw członkowskich Układu Warszawskiego — to niewątpliwie najważniejsze wydarzenie minionego tygodnia. Spotkanie odbyło się w czasie, w którym nadal występuje wysoki stopień powikłań sytuacji międzynarodowej, krótko po wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, które przyniosły zmianę osoby szefa państwa, w okresie trwania madryckich rozmów przedstawicieli 35 państw, uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz nasilających się prób osłabienia państw socjalistycznych. Stąd tematyka tego spotkania, która znalazła swe odzwierciedlenie w opublikowanym komunikacie.

Bieg wydarzeń w ostatnich miesiącach **potwierdził słuszność ocen**, dokonanych w maju na posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego w Warszawie **oraz aktualność wysuniętych wówczas propozycji.** Te ostatnie wywierają dodatni wpływ na procesy zachodzące na naszym kontynencie i w innych częściach świata. Zwielokrotniły się kontakty między państwami o odmiennych ustrojach, kontynuowany jest dialog w najważniejszych sprawach, pozytywnie rozpatrzone zostały przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych propozycje, zmierzające do ograniczenia i zaprzestania wyścigu zbrojeń.

**„Kraje członkowskie stwierdziły** — czytamy w komunikacie — **że zamierzają nadal wnosić wkład w uzdrowienie klimatu międzynarodowego, umocnienie pokoju, kontynuowanie polityki odprężenia, rozwój współpracy międzynarodowej, rozwiązywanie wszystkich konfliktów w drodze rokowań".**

Zadeklarowano gotowość dalszego rozwoju stosunków z wszystkimi krajami, które szanują zasady niezawisłości i suwerenności i przeciwne są stosowaniu siły oraz wszystkimi postępowymi, demokratycznymi siłami, zdecydowano się za umocnieniem solidarności wszystkich narodów przeciwko groźbie wojny.

Wyrażona została także gotowość konstruktywnego działania w rozwijaniu stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, jeśli nowa administracja amerykańska okaże takie samo podejście.

Kraje uczestniczące w moskiewskim spotkaniu opowiedziały się za takim przebiegiem rozmów w Madrycie, w rezultacie którego **stworzono by nowe perspektywy realizacji postanowień z Helsinek.**

Sytuacja w świecie jest nadal napięta. Trwa i nasila się wyścig zbrojeń, w różnych rejonach świata utrzymują się ogniska konfrontacji, siły reakcyjne zmierzają do osłabienia pozycji państw socjalistycznych, krajów rozwijających się oraz ruchów narodowowyzwoleńczych Wszystko to wymaga zwiększenia czujności.

Na spotkaniu w Moskwie jego uczestnicy poinformowali się wzajemnie o rozwoju budownictwa socjalistycznego i komunistycznego w swoich krajach. **Przedstawiciele PZPR mówili o rozwoju sytuacji w Polsce i wynikach VII Plenum Komitetu Centralnego, podkreślili, że „Polska była, jest i będzie państwem socjalistycznym, trwałym ogniwem rodziny krajów socjalizmu".**

**„Uczestnicy spotkania** — czytamy w komunikacie — **wyrazili przekonanie, że komuniści, klasa robotnicza i ludzie pracy bratniej Polski potrafią pokonać trudności, jakie wystąpiły oraz zapewnią dalszy rozwój kraju na drodze socjalistycznej. Zostało potwierdzone, że socjalistyczna Polska, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i naród polski mogą bezwzględnie liczyć na braterską solidarność i poparcie krajów — uczestników Układu Warszawskiego".**

Spotkanie przywódców siedmiu krajów socjalistycznych w stolicy ZSRR szeroko komentowane jest w świecie. Agencje zachodnie są zdania, że wydarzenia w Polsce znajdowały się w centrum uwagi moskiewskich rozmów i że wobec kierownictwa polskiego wyrażono duże zaufanie. Rozmowom towarzyszyły nadzieja i przekonanie, że obecne naprężenie polityczne zostanie pokonane i Polacy sami rozwiążą swe problemy. — Spotkanie — pisze np. moskiewski korespondent AP — nieco obniżyło temperaturę sytuacji.

W tym miejscu trzeba dodać, że ostatnie dni wypełnione były na Zachodzie przeróżnymi spekulacjami co do dalszego rozwoju wydarzeń. Można z pewnością łączyć to „podgrzewanie" atmosfery z trwającym w Madrycie spotkaniem i chęcią blokowania dalszego rozwoju tendencji odprężeniowych, a przede wszystkim rozbrojeniowych.

I jeszcze jedna informacja. 5 bm. Kurt Waldheim opublikował oświadczenie w sprawie Polski. Wyraża w nim **„szczerą nadzieję, że w wyniku starań wszystkich zainteresowanych obecne napięcie zostanie rozwiązane w sposób pokojowy".**

W. SŁAWSKI

# LISTY DO REDAKCJI

## PIĘCIOKĄT

Ponieważ spośród aktorów występujących w „Czworokącie", tylko ja zostałem wymieniony z nazwiska, zdecydowałem się osobiście odpowiedzieć swoim adwersarzom.

Pismo aktorów do prezydenta m. Łodzi, pana Józefa Niewiadomskiego zostało podpisane (jak to podają „Odgłosy" nr 48) przez 36-osobowy zespół artystyczny Teatru im. J. Tuwima. Zespół artystyczny naszego teatru liczy 37 osób wraz z z dyr. Tadeuszem Pliszkiewiczem. Pod pismem tym nie podpisało się 10 osób zespołu artystycznego: Sonia Cieleskia, Jolanta Szajna, Sławomir Sulej, Barbara Więckowska, Barbara Szymanowska, Mieczysław Szargan, Tadeusz Teodorczyk, Włodzimierz Tympalski, Tadeusz Pliszkiewicz., Eugeniusz Korczarowski.

Pytam się więc, skoro 10 osób zespołu artystycznego nie podpisało się pod pismem do prezydenta, to skąd pod pismem tym wzięło się 36 (słownie: trzydzieści sześć!) podpisów członków zespołu artystycznego Teatru im. J. Tuwima? Ale mimo tego, jasne świadomego fałszerstwa, wprowadzania Prezydenta i Czytelników „Odgłosów" w błąd, co odbiera temu dokumentowi wiarygodność, do rzeczy

Jestem wdzięczny kolegom z zespołu artystycznego, że wystąpili w obronie sensu istnienia naszego teatru przedstawiając w piśmie do prezydenta katalog spraw wymagających natychmiastowego załatwienia. Wasze intencje koledzy zbieżne są z tym, co już w czerwcu aktorzy z „Czworokąta" rozpoczęli występując w obronie godności zawodowej aktora i w obronie dobrego imienia teatru.

W sprawie „Czworokąta" skupiają się bowiem jak w soczewce wszystkie problemy Teatru im. J. Tuwima: artystyczne, etyki zawodowej, ludzkiej godności, organizacji widowni, transportowe, bytowe, od lat zlekceważone przez wszystkie kolejne dyrekcje.

Ten katastrofalny stan pogłębił się z chwilą objęcia kierownictwa teatru przez mgr Tadeusza Pliszkiewicza, choć miał on znacznie większe możliwości działania niż jego poprzednicy, gdyż teatr przejęło miasto zapewniając wyższe dotacje finansowe. Te środki nie zostały prawidłowo wykorzystane czego dowodem jest choćby to, że uległa dalszej dewastacji skromna, ale w końcu własna sala widowiskowa, pogłębiły się trudności transportowe i uległa zatarciu linia repertuarowa teatru, mimo deklaracji, że teatr nasz stanie się placówką o profilu młodzieżowym. Jedną z nielicznych pozycji repertuarowych, artystycznie zrealizowaną, która mieści się w tym profilu, jest przecież właściwie tylko „Odprawa posłów greckich" Kochanowskiego. Reżyser Józef Jasielski potrafił wykorzystać potencjalne możliwości twórcze zespołu naszego teatru i chyba to właśnie dlatego „Odprawa posłów greckich" spotkała się z wysoką oceną krytyki, a spektakl otrzymał „Srebrną Łódkę". Szkoda więc, że ten sukces nie został zdyskontowany i rozmył się w nietrafnych poszukiwaniach repertuarowych bez adresata, w realizacjach przypadkowych.

Dlatego też sprawy „Czworokąta" nigdy nie traktowałem jako swoich osobistych porachunków z dyr. Pliszkiewiczem (choć dawał on całym swoim postępowaniem powody do takiego działania) zwracając się razem z kolegami z „Czworokąta" do prezydenta z prośbą o powołanie komisji niezależnej od Wydziału Kultury, która zbadałaby „całokształt działalności kierownictwa Teatru im. J. Tuwima w okresie dyrekcji Tadeusza Pliszkiewicza".

Nie znam przebiegu rozmowy mgr Tadeusza Pliszkiewicza z wiceprezydentem Politem na temat stworzenia takiej komisji na co powołuje się mgr Pliszkiewicz w liście do redakcji „Odgłosów". Mam jednak prawo wobec takiego przedstawienia sprawy zacytować odpowiedź jakiej udzielił nam, aktorom z „Czworokąta", wiceprezydent Polit: „Władze miasta zdają sobie sprawę z trudnej sytuacji w jakiej znajduje się Teatr im. J. Tuwima. Sytuacja ta wymaga generalnych rozwiązań. Wynikające z powyższego decyzje będziemy starali się podjąć w najbliższym czasie..."

A więc w świetle tego pisma wiceprezydenta z dnia 18 listopada br. sprawa powołania luo nie powołania komisji, nie jest bynajmniej przesądzona. Uważam, że wnikliwa i bezstronna ocena sytuacji teatru przez taką niezależną komisję mogłaby stanowić wyjście do generalnych rozwiązań zapowiedzianych przez wiceprezydenta Polita.

Nie mam zamiaru wracać do wydarzeń w Krośnie oraz całej kołomyjki z anulowaniem nagan, choć dyr. Pliszkiewicz starał się wywołać wrażenie, że korzysta z prawa łaski, podczas gdy decyzja ta była w rzeczywistości naprawieniem nadużycia prawa. Nie chcę też wdawać się w nową polemikę, chociaż dyr. Pliszkiewicz w liście do „Odgłosów" wprowadzając w błąd już nie po raz pierwszy swoimi wypowiedziami opinię publiczną, przedstawia w fałszywy sposób skład widowni na spektaklu „Czworokąta" w krośnieńskim Wojewódzkim Domu Kultury, gdzie rzekomo miało znajdować się oprócz około trzystu dzieci „parędziesiąt osób dorosłych". W rzeczywistości osób tych było 3 (słownie: trzy) jeśli nie liczyć czwórki opiekunów dzieci.

Dyr. Pliszkiewicz stwierdzając, że polecił realizatorowi sporządzić protokół z zajścia w Krośnie zawierający „pełen opis sytuacji i (...) niezbędny celem obiektywnej oceny sprawy" zapomniał dodać, że oryginalny protokół z inicjatywy opiekunów dzieci został sporządzony przez realizatora Adama Łukasika w Krośnie bezpośrednio po przerwanym spektaklu „Czworokąta". Natomiast dyr. Pliszkiewicz w Łodzi wymusił na inspicjencie Łukaszu Morycińskim dodatkowy raport z przedstawienia „Czworokąta" pod groźbą poniesienia konsekwencji finansowych w razie odmowy.

Ocenę takiego postępowania pozostawiam czytelnikom „Odgłosów".

Muszę jednak stanąć w obronie p. Wiesławy Radzkiej, pracownicy Teatru im. J. Tuwima, której dyr. Pliszkiewicz zarzuca brzydkie intencje, choć powodowana troską o atmosferę w teatrze opisała alkoholiczną scenerię premiery bajki „Wyprawa do..." na kolonii letniej w Maleczu. O ile mi bowiem wiadomo p. Radzka będąc od dwóch tygodni na zwolnieniu lekarskim, i która dlatego nie może bronić się sama, skierowała list do „Odgłosów".

Dziwi mnie więc, że dyr. mgr Pliszkiewicz legalną drogę krytyki i obrony pracownika nazywa „zacietrzewieniem i zwyczajnym rozrabiactwem". Natomiast na zacietrzewienie dyr. Pliszkiewicza wskazują takie fakty jak: nie obsadzanie aktorów „Czworokąta" w trzech nowych realizacjach Teatru im. J. Tuwima od chwili spowodowanego przez dyr. Pliszkiewicza konfliktu i dalsze szykanowanie w pracy.

Ocenę takiego postępowania pozostawiam także czytelnikom „Odgłosów".

MIECZYSŁAW SZARGAN

Łódź, dnia 29 listopada 1980 r.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (I z-ca redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

# NARODZINY
## (Z NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI — D

**Dalszy ciąg ze str. 1**

Zaczyna ukazywać się **„Biuletyn Informacyjny"**. Na czele tej grupy stoi były dowódca Brygady im. J. Dąbrowskiego w Hiszpanii — **Bolesław Mołojec.**

Polscy komuniści, odsiadujący kary w więzieniach, zrzeszeni w więziennych komunach, deklarują gotowość ochotniczego wstąpienia do wojska oraz składają swoje oszczędności na **Fundusz Obrony Narodowej.** Komuna więzienna **Rawicza,** do której należało 500 komunistów, a między innymi **Marceli Nowotko, Paweł Finder, Alfred Lampe,** złożyła na FON około 5 tysięcy złotych. Tak postąpiły też komuny więzienne **Sieradza, Warszawy, Koronowa, Łomży, Łęczycy, Piotrkowa Trybunalskiego, Kielc, Fordonu** i innych więzień w Polsce.

W maju 1939 roku **Komitet Wykonawczy Międzynarodówki Komunistycznej** podejmuje uchwałę postulującą odbudowę partii komunistycznej w Polsce. W przyjętej wówczas rezolucji stwierdzono, że najważniejszą sprawą dla polskiej klasy robotniczeje i narodu polskiego jest obrona niepodległości.

Na podobnym stanowisku stali też polscy socjaliści. W marcu 1939 roku **Centralny Komitet Wykonawczy Polskiej Partii Socjalistycznej** podjął uchwałę, w której domagał się wzmocnienia obronności Polski przez zwiększenie swobód obywatelskich, powołanie koalicyjnego rządu Obrony Narodowej. 1 kwietnia 1939 roku delegacja władz naczelnych PPS złożyła wizytę prezydentowi Ignacemu Mościckiemu, przekazując mu swoje stanowisko w sprawie obrony Polski. 18 kwietnia 1939 roku **Rada Naczelna PPS** zadeklarowała udział polskich socjalistów w obronie Polski oraz krytycznie oceniła dotychczasową politykę władz polskich.

W walkach wrześniowych 1939 roku uczestniczyli też komuniści. 10 września zginął pod Ołtarzewem koło Warszawy **Marian Buczek,** który 1 września wraz z innymi komunistami wydostał się z więzienia w Rawiczu i zdążał do Warszawy, aby wziąć udział w jej obronie. W tym samym czasie w walczącej Warszawie powstała **Robotnicza Brygada Obrony Warszawy,** której trzon stanowili socjaliści i komuniści. Dowodził nią kpt. **Marian Kenig.** Brygada ta posłużyła się później jako podstawa odtwarzanej 13 dywizji piechoty. 26 września 1939 roku podjęto decyzję o rozwiązaniu PPS. Jednocześnie przystąpiono do tworzenia konspiracyjnej organizacji **Wolność, Równość, Niepodległość,** która znalazła się w ręku działaczy PPS o poglądach prawicowych.

Klęska wrześniowa i okupacja zastały więc polski ruch robotniczy rozbity i zdezorganizowany. Część działaczy PPS opuściła kraj i udała się na emigrację. Pozostali przystąpili do działalności konspiracyjnej. Również komuniści zaczęli powoli organizować się. Część z nich znalazła się na terenach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, które 17 września 1939 roku zajęła Armia Czerwona. Wielu nielegalnie przekroczyło nową granicę radziecko-niemiecką, uciekając przed terrorem hitlerowskim, bądź dążąc do ZSRR, aby tam przystąpić do organizowania działalności na rzecz odrodzenia partii w Polsce.

Organizacje konspiracyjne tworzyły również inne ugrupowania, a w tym związane z rządem londyńskim. Przygotowywały się one stopniowo do odtworzenia w konspiracji pełnej struktury władzy, licząc się z przyszłą klęską Niemiec hitlerowskich.

W październiku 1939 roku gen. **Michał Tokarzewski-Karaszewicz** skupił koło siebie oficerów i utworzył **Służbę Zwycięstwu Polski.** Nad Pilicą walczył major **Hubal.** W listopadzie powołany zostaje w Paryżu **Związek Walki Zbrojnej,** jego głównym komendantem został gen. **Kazimierz Sosnkowski** („Godziemba"). Komendantem w kraju został płk **Stefan Rowecki** („Rakoń"). 4 grudnia 1939 roku kurier z Paryża przywiózł „Rakoniowi" instrukcję w sprawie organizowania ZWZ. Instrukcja ta polecała między innymi:

**„...w imieniu Rządu Polskiego oraz w imieniu Naczelnego Wodza jako Komendant Główny tajnej organizacji wojskowej ZWZ rozkazuję wszystkim tym, którzy na własną rękę lub z rozkazu władz poprzednich rozpoczęli z terenu Rumunii pracę w Kraju o charakterze wojskowym (należą tu również wywiad i dywersja), aby przekazali upełnomocnionemu przeze mnie obywatelowi Rakoniowi, Komendantowi Obszaru nr 1 (Warszawa), wszystkie swoje w tym zakresie stosunki, wszystkie stworzone dotychczas w kraju komórki organizacyjne, szlaki łączności z krajem..."**

Tak rozpoczął się proces scalania konspiracyjnego ruchu proces formowania podziemnej władzy, konsolidowania tajnych organizacji. Pełnego ich scalenia nie udało się przecież osiągnąć do końca wojny. Tym bardziej, że obok konspiracji londyńskiej zaczęła się rozwijać konspiracja lewicowa. Zaczęły wychodzić pisma konspiracyjne różnych orientacji.

Z początkiem 1940 roku komitet organizacyjny WRN przekształcił się w **Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących Miast i Wsi — Wolność, Równość, Niepodległość.** Przedstawiciele WRN weszli później do **Politycznego Komitetu Porozumiewawczego ZWZ,** w skład którego wchodzili też przedstawiciele **Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Ludowego** oraz **Stronnictwa Pracy.** Dawni członkowie PPS skupiali się wokół różnych działaczy. W Warszawie organizowali się byli działacze **„Spartakusa"** i zaczęli wydawać pismo **„Strzały".** Byli działacze **OM TUR i Czerwonego Harcerstwa** skupili się wokół **Stanisława Dubois** i zaczęli wydawać **„Barykady Wolności".** Skupiono się też wokół **Adama Próchnika** i **Norberta Barlickiego.** Ugrupowania te utworzyły 1 września 1941 roku wspólną organizację: **Polscy Socjaliści.**

W grudniu 1939 roku grupa byłych działaczy Komunistycznej Partii Polski w Zawierciu utworzyła **Komitet Dzielnicowy KPP.** W kwietniu 1940 roku byli członkowie KPP w Warszawie utworzyli **Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR** i zaczęli wydawać pismo **„Wieści ze świata".** W maju 1940 roku w Ostrowcu Świętokrzyskim z inicjatywy działaczy robotniczych i chłopskich utworzono **Zjednoczenie Robotniczo-Chłopskie** i zaczęto wydawać **„Głos Ziemi Radomskiej".** W Warszawie powstała organizacja komunistyczna **Rewolucyjne Rady Robotniczo-Chłopskie** która zaczęła wydawać pismo **„Sierp i Młot".** W Łodzi działalność rozpoczął **Łódzki Komitet Strajkowy.**

II.

Klęska wrześniowa 1939 roku zmusiła naród polski do zastanowienia się nad przyszłością. Nie tracono wiary w zwycięstwo, choć rysowało się ono gdzieś w dość odległym czasie. Wprawdzie w różnych rodaków rozmowach podawano sobie na ucho najbliższe terminy, kiedy to przyjedzie do kraju **Sikorski** wraz z Francuzami i Anglikami, ale czas mijał, a terminy coraz bardziej się oddalały. I chociaż ciągle wierzono, że to Sikorski przyjdzie i Polskę wyzwoli, to przecież coraz też silniej nurtowało Polaków pytanie, jaka ta Polska być powinna, aby znów nie powtórzyła się taka tragedia narodowa?

Odpowiedź na to pytanie uwarunkowana była świadomością klasową różnych grup społecznych. Wielu wyrażało pogląd, że choć przyszła Polska nie może być taka jak przed wrześniem 1939 roku to przecież w przewidywanych zmianach nie szli oni zbyt daleko. W ich zamierzeniach miało to być nadal państwo burżuazyjne, trochę tylko zreformowane. Przy czym do przejęcia władzy po wojnie szykowały się zarówno koła wojskowe, związane z **ZWZ** a później **Armią Krajową,** jak i koła cywilnych polityków, związanych z **Delegaturą rządu londyńskiego** na kraj.

Te zamierzenia, szybko odczytane przez inne ugrupowania polityczne, jak choćby przez narodowców, ludowców, demokratów, spowodowały dalsze pogłębienie rozbicia ruchu podziemnego w Polsce. Zaczęto tworzyć odrębne, tajne ugrupowania polityczne i wojskowe. Ugrupowania narodowe zaczęły się skupiać w powstałej od połowy 1941 roku **Narodowej Organizacji Wojskowej.** Od wiosny 1941 roku działa **„ROCH"** — podziemne **Stronnictwo Ludowe,** które w czerwcu 1941 roku powołuje **Chłopską Straż.**

Niemcy ciągle jeszcze odnoszą zwycięstwa. 22 czerwca 1941 roku atakują Związek Radziecki. Wielu ludzi spodziewa się, że Armia Czerwona zatrzyma rozpędzone hordy hitlerowców i następnie ruszy na zachód. Ale nadzieje te okazują się płonne. Niemcy idą w głąb ZSRR. Odnoszą kolejne zwycięstwa. Wojna, która po klęsce wrześniowej toczyła się z daleka od Polski, tym razem coraz silniej daje o sobie znać. Przez Polskę jadą na wschód transporty wojska. Przez Polskę jadą na zachód transporty z radzieckimi jeńcami. Zapełniają się nimi obozy, między innymi w Oświęcimiu. W społeczeństwie coraz silniej rozwija się przeświadczenie, że nie można dłużej stać na uboczu tej walki, że trzeba się do niej włączyć w miarę możności i sił. Toczy się bowiem i rozwija proces biologicznego i intelektualnego wyniszczania narodu polskiego przez hitleryzm, któremu trzeba się przeciwstawić.

Już jesienią 1941 roku socjalistyczna **„Wolność"** — jak pisze o tym **Maria Turlejska** w książce **„Spór o Polskę"** — wydrukowała następujące słowa:

**„Niech nikt nie sądzi, że możemy czekać z założonymi rękami, aż przyjdą Anglicy czy Amerykanie, by nas zbawić (...). W naszej mocy leży zdezorganizować gospodarkę niemiecką, poderwać korzenie niemieckiej potęgi. Musimy rozłożyć transport niemiecki (...). Dzień i noc musimy podpiłowywać słupy, podgryzać korzenie, ryć chodniki, rzucać piasek w tryby niemieckiej machiny przemysłowej, niepostrzeżenie, a uparcie, ostrożnie a odważnie, powoli a skutecznie."**

We wrześniu 1941 roku — po rozbiciu przez Gestapo **Stowarzyszenia Przyjaciół ZSRR** — powstał, założony przez komunistów-inteligentów **Związek Walki Wyzwoleńczej** Wydawali oni dwutygodnik **„Zwyciężymy".** W tym to właśnie pismie 1 stycznia 1942 roku padło następujące pytanie:

**„Jakież zadania stają dziś przed narodem polskim?"**

A oto odpowiedź, jakiej na to pytanie udzieliło **„Zwyciężymy":**

**„Musimy zorganizować szeroką akcję sabotażu, jak to robili Czesi. Musimy bić wroga bronią dywersji, jak to robią Francuzi. Musimy rozpocząć walkę partyzancką, aby ją przemienić w otwartą wojnę z najeźdźca, jak to potrafili zrobić Serbowie. Byłoby małoduszną samoobłudą skrywać fakt, że zostaliśmy w tyle za innymi narodami w zmaganiach z faszystowską tyranią. Inaczej niż tyle razy w historii nie stanowimy płomiennego przykładu dla Europy. Przeciwnie: nas samych zagrzewa przykład innych. Czas już najwyższy stanąć do bojowej rywalizacji (...) Jest to nakaz sumienia patriotycznego, jest to nakaz ambicji narodowej..."**

Sytuacja w Polsce dojrzała nie tylko do podjęcia szerokiej walki partyzanckiej z najeźdźcą, ale i do pojawienia się nowej siły politycznej, która miałaby stanąć na czele awangardy narodowej, na czele mas pracujących miast i wsi. Tą siłą miała być partia robotnicza.

Wyprzedźmy trochę bieg wydarzeń. 1 marca 1943 roku ukaże się **Deklaracja Programowa PPR „O co walczymy?".** Wstęp do tej deklaracji zawiera dialektyczną analizę sytuacji, w jakiej narodziła się Polska Partia Robotnicza:

**„Tocząca się obecnie wojna światowa przytłoczyła ludzkość niezmierzonym ogromem nieszczęść. Wojna ta wynikła z przeciwieństw, na których oparte są stosunki wytwórcze ustroju kapitalistycznego. Była ona nieuniknionym skutkiem rywalizacji imperialistycznej w walce o rynki, o nowy podział świata. Ale w warunkach rozbudzenia się potężnych ruchów ludowych, które były następstwem pierwszej wojny, w warunkach powstania na olbrzymich obszarach globu państwa socjalistycznego, wreszcie w warunkach zwyrodnienia najbardziej przegniłych warstw oligarchii imperialistycznej w polityczne formy faszyzmu — wojna ta musiała przerosnąć w potężne starcie dziejowe przeciwstawnych sobie prądów społecznych, reakcji i postępu, zwyrodnienia i humanitaryzmu, faszyzmu i demokracji. To starcie dziejowe kształtuje dziś nowe oblicze świata, nową rzeczywistość społeczną i oddaje rolę decydującą nowej sile, która wstępuje na widownię dziejową. Siłą tą staje się lud. Lud wydał już wyrok śmierci na świat stary za zbrodnie przez niego popełnione. W jego świadomości dojrzewa potrzeba i konieczność takich zmian w stosunkach społecznych i w systemie organizacyjnym świata, które by życie społeczeństw uczyniły wolnym i szczęśliwym. Nadchodzi okres wielkich przemian społecznych, których twórcą staje się lud, trzymany dotąd przez siły reakcji i wstecznictwa w niewoli i poniżeniu."**

III.

W połowie 1941 roku polscy komuniści w ZSRR zorganizowali Grupę Inicjatywną dla odbudowania partii komunistycznej w Polsce. Kierownictwo tej grupy stanowili: **Marian Nowotko, Paweł Finder, Bolesław Mołojec.** Opracowali oni projekt odezwy partyjnej.

W tym samym mniej więcej czasie w ZSRR zaczęła pracę radiostacja im. Tadeusza Kościuszki, która nadawała audycje w języku polskim oraz podpisano umowę polsko-radziecką o utworzeniu armii polskiej w ZSRR. W kraju organizują się oddziały partyzanckie. Pod koniec września 1941 roku członkowie **Grupy Inicjatywnej** spotkali się z sekretarzem generalnym Międzynarodówki Komunistycznej — **Georgi Dymitrowem.**

4 grudnia 1941 roku **Władysław Sikorski** i **Józef Stalin** podpisali w Moskwie polsko-radziecką deklarację o wzajemnej pomocy wojskowej w walce z III Rzeszą.

25 grudnia 1941 roku w Lublinie organizacje komunistyczne z Warszawy, Radomskiego i Kieleckiego utworzyły **Robotniczo-Chłopską Organizację Rewolucyjną.**

27 września 1941 roku z rejonu Wiaźmy próbowano przerzucić samolotem do Polski część **Grupy Inicjatywnej.** Zaraz po starcie samolot uległ katastrofie. Śmierć wtedy poniósł **Jan Turlejski.**

W nocy z 27 grudnia na 28 grudnia 1941 roku odleciała do Polski inna część Grupy Inicjatywnej: **Marceli Nowotko, Paweł Finder, Czesław Skoniecki, Bolesław Mołojec** oraz **Kartin** i **Rutkiewiczowa.** Wylądowali oni pod Wiązową koło Warszawy. W czasie lądowania **Marceli Nowotko** złamał nogę i został unieruchomiony na kilka tygodni.

5 stycznia 1942 roku w Warszawie na Żoliborzu przy ul. Krasińskiego 18 odbyło się spotkanie członków **Grupy Inicjatywnej** z działaczami komunistycznych organizacji w kraju. Grupę Inicjatywną reprezentował **Paweł Finder,** Związek Walki Wyzwoleńczej — **Franciszek Łęczycki** i **Włodzimierz Dąbrowski,** „Proletariusza" — **Juliusz Aleksander Rydygier,** Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR — **Edward Bonisławski.**

Na zebraniu tym postanowiono utworzyć **Polską Partię Robotniczą.** Tym samym rozwiązywano dotychczasowe organizacje komunistyczne, a ich członków wezwano, aby wstępowali do PPR.

W nocy z 5 stycznia na 6 stycznia 1942 roku zrzucono dalszych członków Grupy Inicjatywnej: **Augustyna Micała, Jakuba Aleksandrowicza, Romana Śliwę, Anastazego Kowalczyka Feliksa Paplińskiego, Piotra Dróżkiewicza.**

Pierwszym sekretarzem PPR został **Marceli Nowotko.** W ciągu 1942 roku utworzono **Komitet Centralny PPR.** W jego skład wchodzili: w czasie okupacji: **Marceli Nowotko, Paweł Finder, Anastazy Kowalczyk, Bolesław Mołojec, Franciszek Malinowski, Bolesław Bierut, Franciszek Jóźwiak, Władysław Gomułka, Małgorzata Fornalska, Józef Wieczorek, Aleksander Kowalski.**

Organem wykonawczym KC PPR była grupa trzech członków KC, „trójka". Od stycznia do listopada 1942 roku tworzyli ją **Marceli Nowotko, Paweł Finder, Bolesław Mołojec.**

10 stycznia 1942 roku ukazała się odezwa PPR:

**„Do robotników, chłopów i inteligencji!**

**Do wszystkich patriotów polskich!"**

Tekst tej odezwy opracowany został jeszcze w ZSRR przez członków Grupy Inicjatywnej. W tekście tym stwierdzono między innymi:

**„W tej decydującej chwili przed całym narodem staje zagadnienie zjednoczenia wszystkich sił do walki z okupantem na śmierć i życie, zadanie utworzenia frontu narodowego do walki o wolną i niepodległą Polskę.**

**Taki front narodowy, front narodowy bez zdrajców i kapitulantów, może być urzeczywistniony i zwyciężyć tylko wtedy, kiedy w jego pierwszych szeregach walczyć będzie zespolona i zwarta klasa robotnicza..."**

W odezwie tej PPR przedstawiła też swoją płaszczyznę programową:

**„Polska Partia Robotnicza jednoczy w swoich szeregach wszystkich uczciwych robotników, chłopów i inteligentów, którzy popierają tę inicjatywę** (walki z najeźdźcą w ramach frontu narodowego — przyp. L. W.) **bez względu na dawniejszą przynależność partyjną.**

**Polska Partia Robotnicza nie ma zamiaru uprawiać konkurencji w stosunku do innych partij szczerze walczących o wyzwolenie narodu polskiego. Przeciwnie, dąży do jak najbliższej współpracy i wspólnej z nimi walki przeciwko wspólnemu wrogowi...**

**Polska Partia Robotnicza wzywa do walki o Polskę, w której robotnikom zabezpieczony będzie ośmiogodzinny dzień pracy i prawdziwe ubezpieczenia społeczne, wolność organizacji, w której ziemia polska będzie należeć do polskich chłopów..."**

Pełna Deklaracja Programowa **„O co walczymy?"** ukazała się dopiero **1 marca 1943 roku.** Ale to już oddzielny temat.

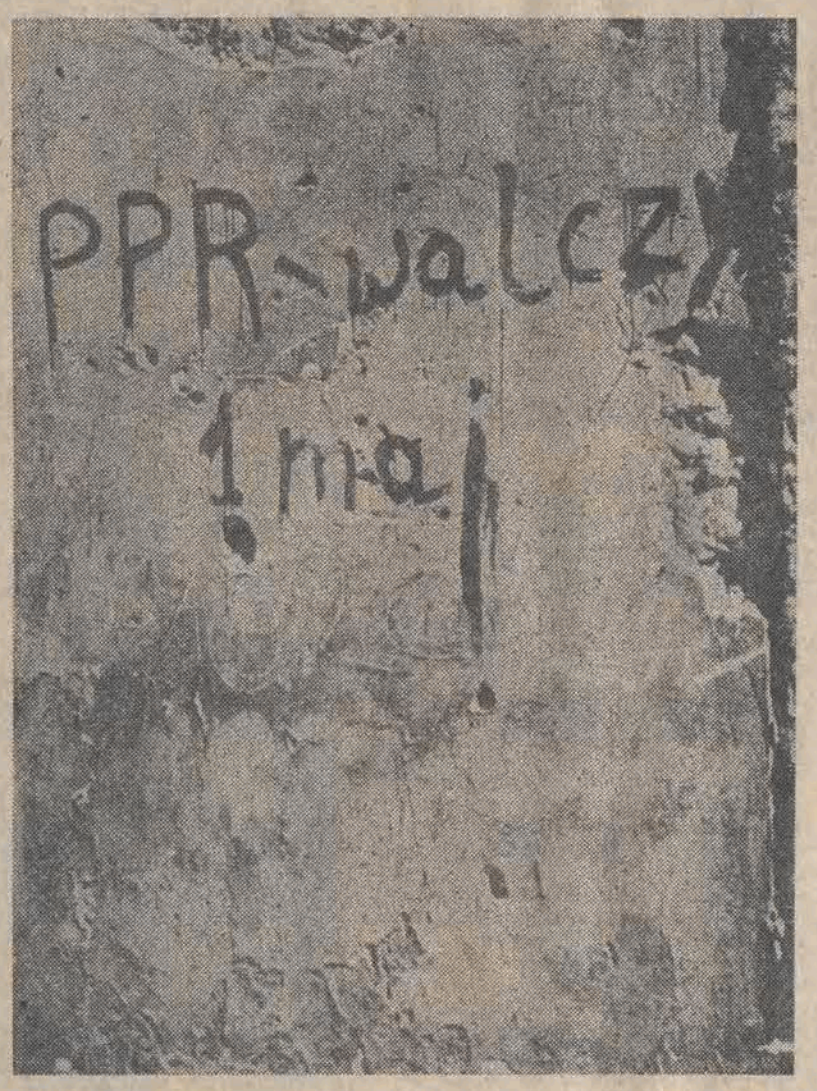


LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# SIERADZKIE PIRAMIDY

Dalszy ciąg ze str. 1

Mieczysław F Rakowski. Dowiaduję się o tym w Sieradzu. Tu już poseł był. Teraz właśnie odbywa się spotkanie w Zduńskiej Woli. Jadę do Zduńskiej Woli. Długo szukam miejsca, gdzie wyborcy spotykają się ze swoim posłem. Okazuje się, że w Urzędzie Miasta. Jest to spotkanie z aktywem.

Notuję pytanie: „Na czym polega odnowa w terenie?". Poseł jest zakłopotany. Tłumaczy, że to od nich zależy, od tego, jak pojmują odnowę u siebie, jak ją będą realizowali. Recept na to nie ma.

Później o podwyżkach. Redaktor Mieczysław F. Rakowski zwierza się, że też dostał 500 zł podwyżki i... nie wie, co z tym zrobić.

Później jeszcze o województwie. Czy Sieradzowi jest potrzebne województwo?

Poseł tłumaczy, że trzeba byłoby zrobić na ten temat referendum, żeby się ludzie wypowiedzieli, ale on jest przeciwny nowej reformie administracyjnej, bo znów zacznie się bałagan, szarpanie, wyrywanie sobie kawałków kraju.

Może to i racja. Akurat teraz nam to jak najmniej potrzebne. Koszty byłyby ogromne. Ale wielu ludzi ma świadomość, że reforma z 1975 roku była nie do końca przemyślana, że przeprowadzono ją w pośpiechu, popełniono przy okazji parę błędów.

Rozmawiałam później na ten temat w gminie Wodzierady. Tutaj byli podobnego zdania. Uważają, że gmina ta, podobnie zresztą, jak na przykład gmina Lutomiersk, jest bardziej związana z Łodzią, niż z Sieradzem.

— *Do Sieradza mamy daleko* — powiedział naczelnik gminy, mgr Apolinary Kozanecki — *a w województwie trzeba załatwić wiele spraw. To zabiera sporo czasu i dezorganizuje rolnikom pracę.*

Gmina Wodzierady nie otrzymała z Sieradza pieniędzy na inwestycje oświatowe. Nie ma więc ani jednej szkoły z prawdziwego zdarzenia, choć w ogóle jest 5 szkół. Dostają pieniądze tylko na remonty szkół. Ale szkoły są stare, remontami wiele się nie zwojuje. Robią więc co mogą. Szkołę w Kwiatkowicach wyremontowano w czynie społecznym. W czynie społecznym buduje się też szkołę zbiorczą.

Podobnie wygląda sprawa z drogami. Władze w Sieradzu jakby nie dostrzegały potrzeb skrajnych gmin. Dwukrotnie już interweniowano u wojewody sieradzkiego. Najpierw obiecywano, że będą budowali drogi w 1980 roku, teraz, obiecują, że w 1982 roku. A drogi są w coraz gorszym stanie.

Nie jest też dobrze ze służbą zdrowia w gminie Wodzierady.

— *Dużo lepszą sytuację mają gminy położone w pobliżu dawnych miast powiatowych* — konkluduje mgr Apolinary Kozanecki.

Myślą więc o tym, aby wrócić do województwa łódzkiego, bo to byłoby lepiej. Dlaczego lepiej? Z prostej przyczyny. Dla województwa łódzkiego, dużej aglomeracji miejskiej, wysoce uprzemysłowionej, byłoby to naturalne zielone, rolnicze zaplecze. Są tu działki rekreacyjne. Województwo musiałoby dbać o takie tereny.

Czy tak by rzeczywiście było?

Ale z reformy administracyjnej nie są też zadowoleni w Zduńskiej Woli. Antagonizm między Sieradzem a Zduńską Wolą zadawniony jest już trwale. Jest w Polsce kilka miast położonych niedaleko od siebie, między którymi stosunków nie można nazwać ani przyjacielskimi, ani wzajemnie wyrozumiałymi. Są one raczej antagonistyczne. Każde z tych miast ma swoje ambicje i każde pragnęłoby je zaspokajać kosztem tego drugiego.

W Zduńskiej Woli mawiają, że na reformie nic nie skorzystali. Skorzystał tylko Sieradz. Miano połączyć Zduńską Wolę z Sieradzem w jedną całość. Coś na wzór Trójmiasta. Tu byłoby dwumiasto. Ale zamiar ten pozostał tylko w planach. Zduńskowolscy działacze, którzy wyemigrowali do Sieradza i tam objęli różne ważne stanowiska, o Zduńskiej Woli rychło zapomnieli.

Wieczorem odbywało się w Sieradzu zebranie zorganizowane przez MKZ NSZZ „Solidarność" — Sieradz. Na spotkaniu tym, gdzie mówiono o różnych sprawach ważnych dla mieszkańców województwa, ktoś zapytał: — Podobno dziś był nasz poseł. Dlaczego nasz poseł mieszka w Warszawie? Dlaczego nie spotkał się z wyborcami, a tylko z wybranym aktywem?

Na to pytanie nie usłyszałam odpowiedzi.

2.

Piramidy — jak wiadomo — są martwymi pomnikami dawnej kultury egipskiej. Przetrwały do dziś. Budzą zainteresowanie uczonych. Ale, czy wówczas, kiedy wznoszono je w trudzie i znoju, przynosiły jakiś pożytek ludowi egipskiemu?

Sieradzkie piramidy — to oczywiście przenośnia. Przejaw fasadowości. Budowania na pokaz. Budowania wbrew najpilniejszym potrzebom Sieradzkimi piramidami nazwał ktoś z dyskutantów, na zebraniu zorganizowanym przez NSZZ „Solidarność", niektóre sieradzkie budowle.

— *Wybudowano i buduje się* — powiedział młody człowiek — *gmachy dla komitetu, województwa, milicji, a przecież trzeba było zapytać ludzi, co jest nam bardziej potrzebne, czy przypadkiem nie szpital, nie przedszkola, żłobki.*

Szpital w Łasku, zbudowany na potrzeby byłego powiatu, pełni dziś rolę szpitala wojewódzkiego. A szpital wojewódzki niemrawo buduje się już drugi rok i jeszcze daleko do zakończenia prac

— *U nas lepiej nie chorować* — powiedziano mi w Sieradzu. — *Cięższe przypadki wozi się do Zgierza lub do Łodzi.*

Według danych urzędowych:

— Na 10 tys. mieszkańców województwa sieradzkiego przypada 48,4 łóżka w szpitalach, a w kraju — 56,3,

— Na 100 dzieci w wieku przedprzeszkolnym w województwie sieradzkim przypada 6,7 miejsca, w kraju — 9,6.

Sieradzki tygodnik „Nad Wartą" z 21 listopada 1980 roku:

„Ciasnota w sieradzkim szpitalu idzie w parze z niedostatkiem elementarnych urządzeń. Na oddziale chirurgicznym pomieszczenie z jedyną wanną wykorzystywane jest do dwugodzinnego przechowywania — co nakazują przepisy — ciał zmarłych. Sama zaś wanna służy do przeprowadzania jakichś kąpieli leczniczych. Gdzie mają się wykąpać — tak zwyczajnie, w wodzie — chorzy? Albo lekarz po przeprowadzeniu ciężkiego zabiegu?

Wąskim gardłem tej samej placówki jest pion diagnostyczny ze względu na brak pomieszczeń, a także aparatury, materiałów i odczynników. Często zdarza się, że osoby hospitalizowane tylko dla przeprowadzenia badań, czekają na nie po kilka dni, zajmując miejsca potrzebne chorym.

Jeszcze gorzej jest w Zduńskiej Woli. Tutaj, z braku windy, chorzy są noszeni z piętra na piętro przez personel, który i bez tego ma pełne ręce roboty".

Sieradzcy lekarze nie mają nadziei, aby coś w tej dziedzinie zmieniło się na lepsze. Ich zdaniem tempo budowy szpitala w Sieradzu, „to jest tempo na co najmniej kilkanaście lat". Ich rozgoryczenie pogłębia fakt, że w tym czasie w Sieradzu potrafiono budować szybko, ale nie budowano szpitali, żłobków, przedszkoli. Ludzie też mają o to pretensje. Szkoda, że nie mogli na ten temat porozmawiać ze swoim posłem.

3.

Szkoła Podstawowa nr 11 w Zduńskiej Woli. Młodzież ósmej klasy wywiesiła plakaty: „Żądamy natychmiastowego ocieplenia szkoły". Plakaty teraz są modne. Po lekcjach zrobili transparent i pomaszerowali przed Inspektorat Oświaty. Inspektor powiedział dowcipnie, że powinni byli pójść pod kotłownię. Było to 7 listopada 1980 roku.

Szkoła nie jest taka znów stara. Liczy sobie 16 lat. Nie przeprowadzano w niej żadnych prac konserwacyjnych. Teraz się remontuje. Trwa to dość długo. Nie dogrzane sale były już w zeszłym roku. A kiedyś była to najlepiej ogrzana szkoła w Zduńskiej Woli.

Co się stało?

Po prostu do kotłowni podłączono Spółdzielczy Dom Handlowy, przychodnię lekarską, milicję i liceum ogólnokształcące. W szkole jest teraz (listopad) po 7, po 8 stopni C powyżej zera. A jak się zaczęły mrozy?

Sytuacja w sieradzkiej oświacie w ogóle nie jest najlepsza. Dzieci uczą się tu na kilka zmian. Nie ma sal gimnastycznych. A baseny?

Głosy z dyskusji:

— *Mówi się, że „wszystkie dzieci są nasze", czy jest tak rzeczywiście?*

— *Czy ludzie, od których zależy gospodarowanie finansami miasta i województwa bywają w szkołach na wywiadówkach? Czy wiedzą, co się na nich mówi?*

— *Dzieci dojeżdżają do szkół w bardzo trudnych warunkach. Na przykład dzieci dojeżdżające z oddalonych terenów do szkół w Sieradzu muszą wyjeżdżać o godzinie 8, aby zdążyć na godzinę 13.30, a wracają do domu około godziny 23. Kiedy mają się uczyć i co to za nauka?*

Władze wojewódzkie na to, że sytuację znają, ale fundusze na inwestycje w oświacie otrzymuje się z funduszu centralnego, a fundusz centralny takich potrzeb ma więcej i nie wiadomo, jak i komu dać w pierwszej kolejności. To prawda. Tylko od tego ani łatwiej się nie dojeżdża, ani nie jest cieplej w klasach, ani łatwiej pracować czy skuteczniej uczyć.

A propos — ciepło. Na niedogrzanie mieszkań w Sieradzkiem skarżą się mieszkańcy osiedla „Jaworze" w Sieradzu, mieszkańcy nowych domów w Wieluniu, Zduńskiej Woli.

Nie ma też ciepła w „Izolacji" w Zduńskiej Woli. Jest to fabryka wyrabiająca papę i inne materiały izolacyjne. Wybudowano ją w 1975 r. Ale... zapomniano o zapleczu. Nie ma więc pary technologicznej, nie ma ciepłej wody. Zeszłej zimy załoga nie pracowała, bo było zimno. Tej — jak wszystko wskazuje — będzie podobnie. A papa jest potrzebna. I będzie potrzebna wiosną do łatania dachów po zimie.

I jeszcze cytat z „Nad Wartą" z 21 listopada 1980 roku:

„We wsiach Trzcianka i Grójec Wielki stoją puste szkoły „tysiąclatki". Po odpowiednich adaptacjach byłyby to bardzo dobre placówki dla przewlekle i nieuleczalnie chorych"

Propozycja interesująca. Jeśli mają stać puste, to lepiej, żeby wykorzystać je dla ludzi. Ale dlaczego stoją puste? Jak planowano?

4.

Wyjeżdżałam z Sieradza przekonana, że jednak nie rolnictwo jest tego województwa najsilniejszą stroną Nie chcę twierdzić, że przez 5 lat nic tu nie zrobiono, byłaby to nieprawda. Zrobiono bez wątpienia wiele, ale powstaje pytanie, czy wysiłek zawsze kierowano we właściwą stronę

Usłyszałam między innymi taką historię. Pewien rolnik kupił sobie traktor. Bardzo się z tego cieszył. Wielu rolników marzy o traktorze. Jest w gospodarstwie bardzo potrzebny. Ale do traktora są potrzebne maszyny. Na przykład pług. A takiego pługa nigdzie w Sieradzkiem nie można kupić. Co więc zrobił? Kupił pług konny. Tylko, że już nie ma konia. Więc zaprzągł do pługa... traktor. Traktor ciągnął pług, a za pługiem szedł syn rolnika i tak orał Śmieszne? Rolnikowi owemu nie było jednak do śmiechu. Innym też.

W SKR robi się kasacje. To inna opowieść. Poszedł rolnik kupić sobie taki kasowany traktor. Kosztował kiedyś ten traktor 72 tysiące zł Teraz dał za niego — 80 tysięcy zł. To nasz paradoks, że — wbrew temu co się dzieje na całym świecie — zużyte auta i ciągniki kosztują drożej niż nowe. Więc kupił ten ciągnik, ale nie mógł nim wyjechać z SKR. Słusznie pyta, dlaczego bierze się tyle pieniędzy za zwyczajny szmelc?

Powszechne są tu takie same bolączki, jak i w innych regionach kraju. W sklepach Samopomocy Chłopskiej nie ma gwoździ. Brakuje paszy i nawozów. Brakuje węgla. Brakuje narzędzi.

Ludzi najbardziej denerwuje niegospodarność, marnotrawstwo, lekceważenie inicjatyw, społecznej troski o nasze wspólne dobro, jakim jest ziemia, która powinna żywić.

„Nad Wartą" z 5 grudnia 1980 r.:

W gminie Szadek „wielokrotnie rolnicy wskazywali na konieczność kontynuowania melioracji na wsiach. Z powodu jej braku nie zebrano w ogóle ziemniaków z 60 procent ziemi, a z pozostałych plony były o połowę niższe od dotychczasowych".

W SKR Rusiec na 116 osób jest 33 pracowników administracji. W ZGR podlegającemu SKR Rusiec na 14 pracowników jest 9 „fizycznych" i 5 administracyjnych. Nie przypadkiem więc rolnicy pytają: — kto ma pracować?

Jeden z rolników przyszedł na zebranie zorganizowane w Sieradzu przez NSZZ „Solidarność" z dokładnym sprawozdaniem o pracy Spółdzielni Produkcyjnej „Jeziorsko". Wywiaszczono tam wielu gospodarzy Ludzi przesiedlono w inne rejony. Ale nie wszystką ziemię zagospodarowano należycie. Została spora część ziemi ornej, którą nie miał kto wziąć Chcieli ją wziąć rolnicy, ale ktoś wpadł na pomysł, aby stworzyć Spółdzielnię Produkcyjną „Jeziorsko" Spółdzielnia powstała. Ale nie ma budynków, nie ma zaplecza, nie ma kto w niej pracować. I tak: nie zebrano w tym roku peluszki z 5 ha buraków z 6 ha, łubinu z 4 ha, marchwi z 2 ha, nie zaorano i nie obsiano w ogóle 4 ha. Nie zebrano kartofli.

— *Czy to ma być przykład dobrego gospodarowania?* — zapytał rolnik

Ludzi oburza każdy przykład marnotrawstwa. I słusznie. Mówią więc z goryczą o tym, co im się nie podoba, co ich drażni, co jest — według nich — źle robione. I mają na to przykłady.

Mówi jeden z rolników: — *Są w Sieradzkiem stawy. Zabagnione. Sam wezmę 7 stawów, I dam ryby dla miasta. Ale jakoś nikt się nie kwapi, aby o tym ze mną rozmawiać. Czy nikomu na tym nie zależy?*

Inny rolnik: — *W ubiegłym roku w SKR Niedoń w błocie zamarzło 200 tuczników. Kto za to odpowiada?*

Jeszcze inny rolnik: — *W kółkach rolniczych pracowało się społecznie, nie byli potrzebni urzędnicy, dyrektorzy, a były wyniki. Teraz są dyrektorzy, urzędnicy i jest marnotrawstwo.*

Jeszcze przykład z SKR Rusiec — w podległym mu ZGR nie ma filców, nie ma rękawic, w czasie żniw nieczynna była łazienka, w której ludzie po pracy mogliby się umyć. Myli się w kałużach. Łazienkę zamknął dla siebie dyrektor.

5

Bardzo żałuję, że poseł Mieczysław F. Rakowski, redaktor „Polityki", nie mógł tego wszystkiego wysłuchać. Być może jego wiedza o województwie sieradzkim, które reprezentuje w Sejmie PRL, gwałtownie uległaby wzbogaceniu. Pozostaje tylko nadzieja, że dotrzyma danego słowa i spotka się ze swoimi wyborcami. A nie tylko ze starannie dobranym aktywem.

**BOGDA MADEJ**

*Foto: R. Łucyszyn*

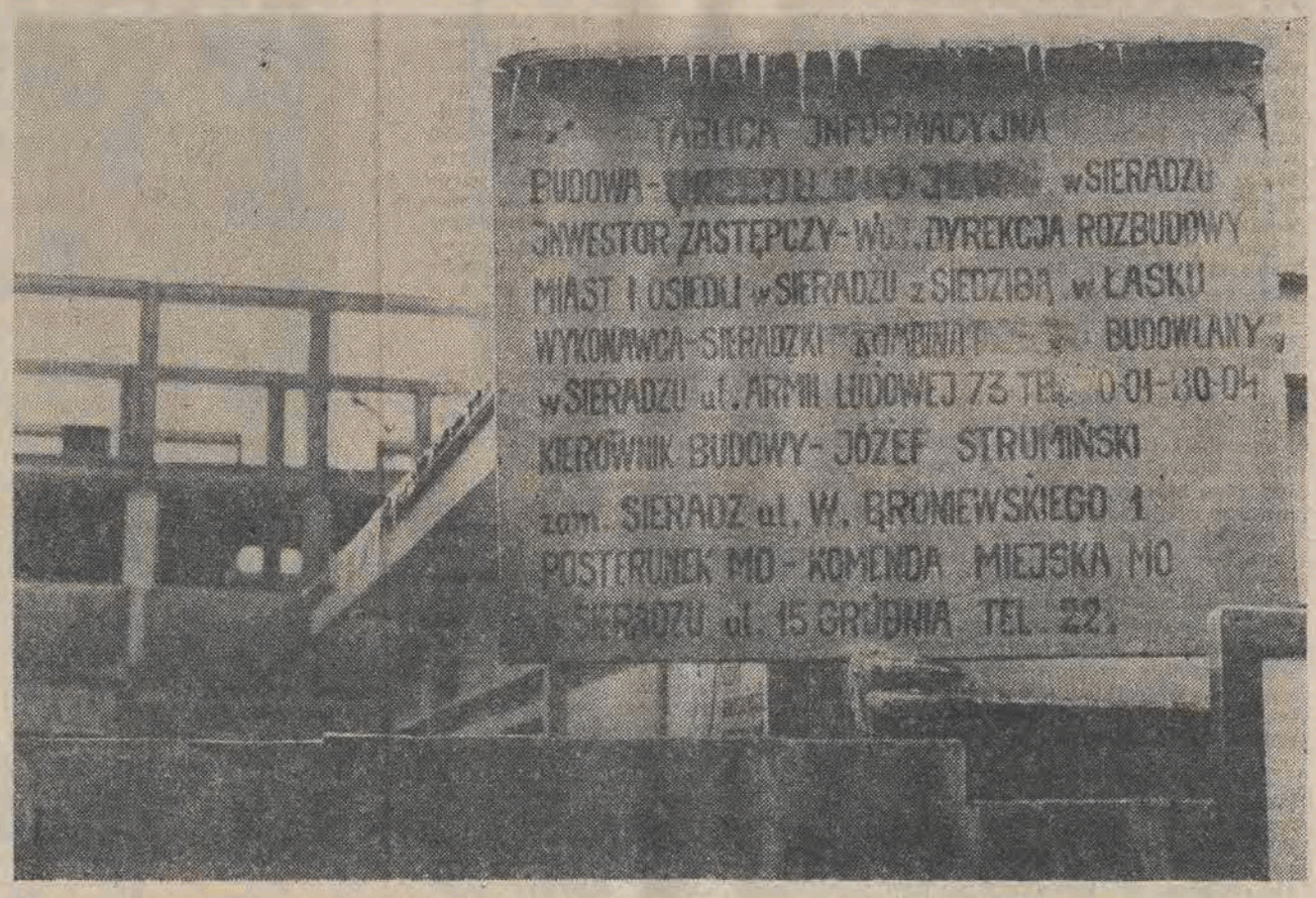

# LICYTACJA PGR?

Dalszy ciąg ze str. 1

gdzie można przyjmować oficjeli sutą, staropolską kolacją. Oczywiście, na koszt PGR, łatwo wliczyć to do deficytu.

Kiedy jednak sięgnąć do szokujących danych liczbowych, bulwersujących opinię publiczną, to z miejsca nasuwa się myśl, że PGR należy szybko zlikwidować. Oto Michał Mońko, w „Kulturze" nr 44 z 2 listopada 1980 roku, pisze m. in. że PGR w Medyce otrzymało od państwa dotację w wysokości 39.981 tys. zł, aby osiągnąć 21.625 tys. straty. Z dalszej części artykułu wychodzi jasno, że kto robi najmniej strat ten otrzymuje najmniejsze dotacje, a najmniej strat robi ten, kto najmniej produkuje. A jeżeli człowiek na odpowiedzialnym stanowisku stwierdza bez żenady, że w sektorze państwowym koszt produkcji 1 kg żywca może sięgać 2.250 zł, to człowika szlag może trafić, bo jest to już kompletne dno.

Żeby jakoś skonfrontować te dane, pojechałem do PGR Niewiadów, w woj. piotrkowskim gospodarstwa wcale nie najlepszego i spytałem dyr. Tadeusza Pastuszkę, co o tym sądzi. A Pastuszko na to, że proszę bardzo, dostaje 21 mln dotacji i wychodzi mu 13,5 mln straty. Ale w ubiegłym roku miał 7,5 mln zysku.

— *Chodzi o to* — mówi Pastuszko — *że wprowadzając nowoczesność wcale nie obniżamy kosztów produkcji. Udowodnię to na przykładzie z własnego podwórka.*

I zaprowadził mnie do najnowocześniejszej fermy w kraju, obliczonej na 1.700 sztuk bydła. Przy budowie fermy niepotrzebnie zniwelowano kilka hektarów ziemi i założono dziesiątki niepotrzebnych punktów oświetleniowych przy silosach, co automatycznie podniosło koszty. W bukaciarniach jest zimno, nie ma stropów ocieplonych, na ścianach skrapla się para. Między stanowiskami dla zwierząt pozostawiono wąskie przejście, przez które nie przeciśnie się człowiek z taczką, nie mówiąc już o ciągniku z przyczepą. Otóż tym wąskim przejściem ma sunąć taśma podająca karmę, zwana stołem paszowym. Jeżeli na „stół paszowy" podaje się suszone brykiety paszowe, stosunkowo tanie, bo głównym komponentem jest słoma, wszystko jest w porządku. Kiedy jednak poda się kiszonkę, łańcuchy pękają. Szkopuł w tym, że wyprodukowano tylko jeden „stół paszowy", bez części zamiennych, i żeby jakoś ratować hodowlę, w Niewiadowie, trzeba było utworzyć dodatkową brygadę do awarii. Ale ostatnio awarii nie nadaża się usuwać, a że na wąskie przejście człowiek nie wejdzie, bo jest tam metalowa krata o dużych otworach (nikt nie chce łamać nóg), dziesiątki stanowisk dla bydła stoi pustych. Nowoczesność sprawiła, że koszt produkcji 1 kg żywca wołowego wzrósł o 19 zł. Jest to jeden z przykładów, jak należy patrzeć na koszty produkcji w PGR, albo jak na to nie patrzeć. Oczywiście, dyr. Pastuszko mógł się nie zgodzić na taką inwestycję. Ale co on miał do gadania? Zresztą gdyby nawet stanął okoniem to wiele by stracił: nie otrzymałby np. mieszkań dla pracowników.

Dyrektor Pastuszko powiedział mi, że pracuje na 800 ha i nie ma żadnych konfliktów z chłopami. *Jest nawet tak, że tam gdzie ciężkie* maszyny pegeerowskie nie wjadą pozwalają się rolnikom sprzątać bezpłatnie trawę. W ciągu dziesiątków lat utrwalił się dość nietypowy układ: chłopi m o g ą pomagać PGR, natomiast PGR m u s z ą pomagać chłopom.

Należy przyznać uczciwie, że wiele jeszcze ziemi chłopskiej leży odłogiem lub jest źle uprawiana. Nic dziwnego, około 2 mln rolników jest już lub zbliża się do wieku emerytalnego. Tę ziemię, w dziesiątkach rozproszonych działek, m u s z ą przejmować SKR. I jadą na deficycie PGR może odmówić przejęcia chłopskiej ziemi. I najczęściej odmawia. A jeśli już przejmuje, nawet w skomasowanym kawałku, to dostaje ziemię najgorszą, w VI klasie bo nikt takiej nie chce. I dlatego rolnicy mówią, że wcale nie chcą ziemi PGR, bo PGR nie powstały na gruntach chłopskich. Gdyby więc miało dojść do licytacji PGR, jak postulują niektórzy publicyści i działacze, kto wziąłby te ziemię? Być może jedni widzieliby w PGR kompanie wojska, inni zaś więźniów, których liczba ostatnio rośnie nam jak diabli. Najwięksi optymiści twierdzą, że grunty PGR należy rozdać chłopom. Nie zastanawiają się jednak, że taka operacja może przynieść miliardowe straty. Bo co robić z majątkiem trwałym PGR? Co z osiedlami mieszkaniowymi, oborami-gigantami, cc z mleczarniami, mieszalniami pasz, z maszynami i ogromnymi silosami? Czy oddać to wszystko w ajencję?

Rodzą się wątpliwości. Jedno natomiast jest pewne: chłopi produkują żywność o wiele taniej niż PGR. Może więc zło tkwi w tym, że PGR produkują za drogo, a chłopi za tanio? Okazuje się, że i ta sprawa wcale nie jest taka prosta. Weźmy chociażby przykłady z ostatniego dziesięciolecia. Państwo stwarzało okresy koniunktury, np. opłacalna była uprawa maku lub hodowla owiec. Kiedy to przestało być opłacalne, chłopi zarzucili produkcję; zanikały uprawy, upadała hodowla, stan pogłowia można było odnowić za kilka lat. PGR nie mogły zarzucić produkcji, one muszą robić do dziś to, co im się nakaże z góry, choćby to było bezsensowne. I PGR utrzymują cały czas produkcję, ale jakim kosztem, tego władze centralne jakby nie chciały wiedzieć. Gdyby same wybierały profil produkcji, wychodziłyby na czysto. Tylko, że wówczas mielibyśmy same fermy lisów, a nie byłoby np. mleka. Wobec tego PGR sieją warzywa, bo tak chce wojewoda. Sieją jęczmień jary, chociaż w okręgu łódzkim plony są niskie. Plantacje rzepaku wymarzły lub wygniły, ale nie wolno ich przyorać, bo rzepak był w planie, jest potrzebny na olej. PGR są zawsze ostatnią deską ratunku, służą do łatania bieżących potrzeb.

Innym przykładem wzrostu kosztów produkcji jest sztuczne tworzenie gigantów i na siłę wprowadzana hodowla bydła. Oto w PGR Ligota było 700 ha ziemi, w związku z czym postanowiono zbudować tam wielką oborę, bo władze obiecywały, że w najbliższych latach „spadnie" tam drugie 700 ha. Lata minęły, ziemia nie „spadła" i teraz w Ligocie na 100 ha hoduje się 266 sztuk bydła, co jest chyba rekordem świata. Nie pomaga własna suszarnia brykietów paszowych, korzysta się z pasz pantswowych, kupuje pasze u chłopów (ta jest tania) i koszty rosną. I dlatego w Zjednoczeniu Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej w Łodzi koszt produkcji kilograma wołowiny wynosi średnio 70 zł, chociaż PGR dostaje za to 33 zł. Tymczasem na wyprodukowanie tego samego kilograma wołowiny zużywa się średnio 4—5 kg pasz treściwych o wartości 20 zł. Na co więc idzie pozostałych 50 zł?

Dyrektor zjednoczenia, Edmund Niewiara stara się wyjaśnić to w następujący sposób:

— *Jeżeli rolnik ma, załóżmy, pięć hektarów ziemi, to pracuje na tym wraz z całą rodziną świątek czy piątek, nieraz po dwadzieścia godzin na dobę. Hoduje zwierzęta w starych budynkach, nie wlicza kosztów amortyzacji, własnej robocizny. W ciepłych chórkach zwierzęta mniej zjadają, a szybciej rosną. Ponadto chłop pracuje bez maszyn, ręcznie...*

— Panie dyrektorze, o tym wszyscy wiemy chociażby z prasy.

— *Ale nie wszyscy mogą obiektywnie porównać różnice. Myśmy w ostatnim pięcioleciu zbudowali 2.553 izby mieszkalne, bo one gwarantują nam ludzi do pracy. Mimo to nie wykorzystujemy funduszu płacowego, ludzi mamy za mało. Niskie są także zarobki, 4 tys. zł miesięcznie. Gdy przejmujemy ziemię ludzi i maszyn nam nie przybywa. W mieście burzy się domy, które mogłyby stać jeszcze sto lat, a u nas ludzie mieszkają w budach i komórkach. Nie możemy utrzymać dobrej kadry od przyjęcia do emerytury.*

— Macie za to maszyny. Obecnie 64 proc. inwestycji idzie dla gospodarki uspołecznionej.

— *Jesteśmy może lepiej zaopatrzeni w maszyny niż chłopi, ale te nasze nie nadają się na chłopskie pola, są za wielkie. Średnio wypada nam 18 osób na sto hektarów, ale jeśli weźmiemy pod uwagę zatrudnienie w szklarniach, których mamy 37 ha, to wychodzi 3—4 osoby na 100 ha. Ci ludzie pracują 8—10 godzin dziennie, trzeba im dać urlopy, zapewnić stołówki, wczasy, mieszkania. To kosztuje. Gdy przyjdą żniwa, akcja „Każdy kłos na wagę złota" jest dla nas zwykłą bzdurą. Ale gdy przyjdzie jesień, ta garstka ludzi nie nadąża ze zbiorem ziemniaków, buraków i kukurydzy, bo nie ma maszyn. Dlatego też produkuje się mało ziemniaków. Ostatnio sprzedaliśmy wszystkie dla Łodzi. A co będą żreć świnie? Zresztą, proszę pana, jeśli na 100 ha trzyma się 160 bukatów, to wszystko z tego pola musi być przeznaczone na pasze. PGR muszą jednak istnieć, bo są potrzebne, ale przynajmniej na 20 proc. areału powinny rozwijać inną produkcję.*

— I wtedy nie będzie strat?

— *Jak się pan dobrze rozejrzy, to stwierdzi pan, że PGR w łódzkim zjednoczeniu są najlepsze w kraju. Muszą istnieć chociażby po to, żeby produkować wysoko kwalifikowane zboża nasienne, a to można robić tylko na dużych przestrzeniach, żeby się nie zapylały z chwastami i zbożami marnymi. To samo dotyczy nasion traw. PGR produkują dla chłopstwa ziemniaki sadzeniaki oraz prowadzą obory zarodowe. Bez jałówek z naszych obór bydło w kraju by skarlało. To także kosztuje. I jeszcze coś. Jeżeli u nas jest mało ludzi, to muszą ich zastąpić maszyny. To samo dotyczy chłopstwa. Tylko że w naszym kraju, a szczególnie ciąży to na PGR, drogość produkcji zdeterminowana jest przez drogość środków produkcji. Niech pan porówna też koszt produkcji maszyn i koszty zbytu. Jak się dobrze rozejrzeć, proszę pana, to się okaże, że PGR wcale nie potrzebują dotacji.*

Idąc za radą dyr. Niewiary, zacząłem się pilnie rozglądać. Otóż w ub. roku zjednoczenie PGR w Łodzi dało państwu 14.985 ton mięsa i 24.361 tys. litrów mleka. Otrzymało dotacje w wysokości 453 mln zł, a zysk wyniósł 348 mln zł.

Cytat z artykułu Michała Mońki:

*„Lubaczów otrzymał 105.239.000 zł dotacji choć planowane straty, wartości 41.900.000 zł pogorszyło o 73.043.000 zł."*

Tyle „zarobiło" jedno PGR. W skład zjednoczenia w Łodzi wchodzą 32 PGR, gospodarujące na 34 tys. ha. Żeby jednak obraz był pełniejszy, dodam, że średnio w zjednoczeniu osiąga się następujące wyniki: obsada bydła na 100 ha — 121 sztuk, trzody — 159 sztuk; mleko od 1 krowy — 3.149 l rocznie, a plony czterech zbóż — 27,1 q z ha.

Jednakże gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że w PGR zużywa się 339 kg NPK na ha, podczas gdy chłopi zużywają nawozów o połowę mniej. Ponadto jest w zjednoczeniu takie PGR Jak Dziembakowo (przejęte z byłego województwa warszawskiego), gdzie jest 1 700 ha zaniedbanej nie zmeliorowanej ziemi, liche budynki inwentarskie, i tam 1 krowa daje tylko 2.415 l mleka. Dziembakowo otrzymało 18 mln dotacji przynosząc 29 mln strat.

Oprócz tego są przedsiębiorstwa, gdzie myśli się raczej o „wolnej niedzieli" niż o wolnej sobocie, bo tam praca wre na okrągło. Kombinat PGR Niechcice to także drożdżownia, winiarnia, gorzelnia. Tutaj 74 mln dotacji dało 99 mln zysku. I gdyby pokusić się o wyjaśnienie, czy państwo daje naprawdę tyle dotacji, to mogę ujawnić następujący przykład: w ub. roku zjednoczenie wyprodukowało 12 mln litrów stuprocentowego spirytusu. Wziąłem ołówek do ręki i posługując się cenami średnimi (nawet zaniżonymi) wyliczyłem, że koszt produkcji spirytusu (12 mln l razy 40 zł) wyniósł 480 mln zł. Państwo sprzedało ten spirytus za 6 mld zł (bo 12 mln l razy 500 zł) a więc czysty zysk wyniósł 5.520 mln zł.

Na co idą te pieniądze? Myślę, że także na dotacje dla innych PGR, gdzie maszyny muszą zastępować brak ludzi. A maszyny i materiały budowlane cholernie drożeją. Oto kilka przykładów:

1. W 1970 roku koszt jednego stanowiska dla krowy w oborze wynosił 20.352 zł. Dzisiaj koszt wzrósł do 123.556 zł. Mimo że nie ma kto budować, w minionym pięcioleciu w zjednoczeniu powstało 19.661 takich stanowisk.

2. Cena „Ursusa C-330" w roku 1967 wynosiła 72 tys. zł. Obecnie ten sam ciągnik kosztuje 145 tys. zł.

3. Cztery lata temu „Bizon" kosztował 510 tys. zł a dzisiaj już 719 tys. zł.

4. W 1967 roku za siewnik zbożowy (13 metrów szerokości) płaciło się 8 tys. zł. Teraz można go kupić za 20 tys. zł.

Myślę, że to wystarczy, aby się przekonać, dlaczego koszt produkcji żywności jest tak drogi. Ale nadal niejasna jest sprawa milionowych strat, a o to przecież chodzi, to jest najgorsze. PGR są fabrykami pod gołym niebem i zawsze mogą ponieść straty, tak jest w całym rolnictwie. Czy jednak niskie plony można tłumaczyć jedynie złą pogodą, a upadki zwierząt — hodowlą w złych warunkach, na metalowych rusztach, i brakiem troskliwości ze strony obsługi, bo trudno mówić o troskliwości gdy jeden człowiek obsługuje 1.000 bukatów. Czy to, że w sadzie PGR pozostaje 100 ton jabłek na drzewach, bo zniszczył je mróz, można tłumaczyć zaskoczeniem przez zimę? Otóż w PGR powtarza się historia dotycząca całego kraju. Tym bardziej, że tam nie ma takiej kontroli, jak w fabrykach. Codziennie można wynieść ze szklarni wiązkę goździków pod fartuchem i nikt się nie doliczy. Brygada polowa, zamiast trzech kwintali nawozów wysieje dwa kwintale, zamiast dwóch kwintali pszenicy wysieje kwintal i plony będą niskie. A resztę sprzeda się chłopom. Kombajnista część zebranego z pola PGR ziarna może wysypać po drodze do chłopskiego spichrza. Jak pracownicy PGR nie mogą nabyć mięsa, to spowodują nieszczęśliwy wypadek, łamiąc nogę bykowi i mięso będzie. Milionowe straty powstają ze zwykłego złodziejstwa, cwaniactwa, bezmyślności i malwersacji. Ale nie tylko. Bo tony zmrożonych jabłek na drzewach to efekt braku wyobraźni i niegospodarności. Przecież można było zorganizować do zbierania owoców młodzież szkolną!

Inną przyczyną powstawania strat są stworzone przez państwo złe formy gospodarki i zarządzania. Gdyby PGR nie miały z góry narzuconego planu produkcji, robiłyby mniej strat. Bo w PGR najlepiej wiedzą, co i gdzie może się urodzić. Od przyszłego roku przedsiębiorstwa uspołecznione mają uzyskać większą samodzielność. Najpierw jednak musi nastąpić decentralizacja i umocnienie władz terenowych. Ponieważ w wielu resortach zjednoczenia stały się przeszkodą w sprawnym zarządzaniu i gospodarowaniu, będzie się likwidować zjednoczenia. Mam jednak pewne wątpliwości, czy nie likwidując zjednoczenia PGR kierujemy się wyłącznie troską o rozwój rolnictwa. Otóż mówi się już o tym głośno, że każde małe województwo pragnie mieć podległe wojewodzie i komitetowi partii „minizjednoczenie". Zjednoczenie łódzkie obejmuje pięć województw i zatrudnia 70 pracowników. W takim układzie jedna „komórka" zjednoczenia pozostałaby w Łodzi i powstałyby cztery nowe. Każda musiałaby zatrudnić przynajmniej po 20 osób, a więc w sumie byłoby ich już sto. Do tego potrzebne są nowe lokale, biurowce, meble, telefony, sprzątaczki, samochody służbowe, kierowcy, itd. Czy stać nas na takie operacje?

Odczuwa się powszechne dążenie do korekty podziału administracyjnego, sam o tym pisałem z tą myślą XIV Zjazd Krajowy Związku Zawodowego Pracowników Rolnych podjął decyzję o powołaniu zarządów okręgowych, obejmujących tereny województw sprzed podziału administracyjnego. Pytam więc, czy słuszne byłoby grzęźnięcie w tym bagienku dalej, rozdrobniając instytucje a jednocześnie zwiększając ich liczbę, tworzyć przerosty administracji urzędniczej?

I jeszcze jedno. Zawsze byłem i jestem zdania, że gmina powinna być silna, a naczelnik winien mieć kontrolę nad całym rolnictwem w gminie. Tylko niech to będzie mądry naczelnik. Bo jak taki przyjedzie do PGR i powie, że brakuje mu do planu 100 macior, to PGR weźmie się za hodowlę, chociaż nie będzie miało ku temu warunków, i spowoduje nowe straty.

Dane liczbowe zamieszczone w „Kulturze" przez M. Mońkę na pewno nie są wyssane z palca. W kraju rzeczywiście jest wiele słabych PGR, do których wszyscy musimy dopłacać to miliardy. Ale obok nich istnieją PGR dobre. Chłopi nie staną do licytacji słabych PGR. Ale dobrze by było, aby rozrzucone działki wepchnięte na siłę PGR, a wcześniej zabrane chłopom przez nadgorliwych naczelników (chodzi o dzierżawione grunty PFZ) wróciły do chłopów. Natomiast PGR najgorsze, zdewastowane, przynoszące same straty, mogłyby w całości przejąć dobre spółdzielnie produkcyjne, bo te potrafią nieźle gospodarzyć. Przykładem niech będą RSP w Łódzkiem: Dąbrówka i Ksawerów.

Nie może być jednak mowy o generalnej likwidacji PGR, trzeba bowiem przyjąć do wiadomości fakt, że 36 proc. żywca wołowego, 50 proc. rzepaku i 47 proc. zbóż produkowanych jest w kraju przez gospodarkę uspołecznioną. Obowiązkiem rządu jest uproszczenie metod kierowania gospodarstwami uspołecznionymi, zapewnienie większej samodzielności w podejmowaniu decyzji produkcyjnych, stworzenie odpowiednich warunków socjalnych dla załóg i pełne zaopatrzenie w środki produkcji. Gdyby te wszystkie postulaty z pełną konsekwencją wprowadzić w życie i roztoczyć ścisłą kontrolę nad działalnością produkcyjną, PGR nie przynosiłyby tak wielkich strat.

**RYSZARD BINKOWSKI**

## ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

Szanowny Panie Redaktorze!

Z ogromnym zainteresowaniem czytałem w „Odgłosach" nr 47 z dnia 23 listopada 1980 r. Pana artykuł pt. „Na mapie i poza mapą". Zgadzam się z Pana opinią pod każdym względem i jestem przekonany o tym, że wyzwolenie tego tematu jest balsamem i nadzieją przygniatającej części społeczeństwa Zduńskiej Woli.

Boleśnie dotknął mnie jednak fakt, że w swoich rozważaniach nie wspomniał Pan o Zduńskiej Woli, którą losy wypaczonego podziału administracyjnego z 1975 roku postawiły w rzędzie „dzieci oderwanych od łona matki". Tak bowiem traktuję decyzję przyłączenia Zduńskiej Woli do Sieradza, odrywając od Łodzi.

Zduńska Wola jest miastem bardzo młodym, ale od samego jej zarodka była związana z Łodzią.

Obecnie Zduńska Wola jest miastem wielce uprzemysłowionym, jednym z najbardziej uprzemysłowionych w dawnym województwie łódzkim. Wszystkie siedziby zjednoczeń, instytutów, central i hurtowni jako jednostek nadrzędnych zduńskowolskich przedsiębiorstw znajdują się właśnie w Łodzi. Tak było od dawien dawna i tak jest dzisiaj. Prawdą jest, że Zduńska Wola nie jest zbyt oddalona od swojej „stolicy" Sieradza, ale „wędrówka ludów" polega na tym, że ogromna większość problemów dotyczących planowania, rozwoju przemysłu, produkcji, koordynacji, itp. wymaga wspólnych spotkań i posiedzeń władz administracyjnych z władzami nadrzędnymi poszczególnych przedsiębiorstw, których siedziby jednych znajdują się w Sieradzu, drugich zaś w Łodzi. Ni pies ni wydra. Istnieje wiele, wiele innych argumentów świadczących o znacznie bliższych powiązaniach Zduńskiej Woli z Łodzią aniżeli z Sieradzem. Nie wspominam już o odwiecznych antagonizmach.

Popieram więc i tę opinię, że należy, i to w niedługim czasie, dokonać korekty podziału administracyjnego, która nie pociągnie za sobą takich ogromnych kosztów jak to miało miejsce przy rodzeniu się tego tworu. Uzdrowi przynajmniej jego funkcjonalność.

A jeżeli korekta, to już z uwzględnieniem, między innymi przyłączenia Zduńskiej Woli do województwa łódzkiego.

Myślę, że gdyby moje uzasadnienie było przedstawione przed oblicze kompetentnego forum w formie i treści wyrażonej jak wyżej byłoby zdane na niepowodzenie.

Jestem (jesteśmy) natomiast przekonani, że Pan uczyni to po mistrzowsku, tak jak w swym „Na mapie i poza mapą", a więc bardzo przekonywająco.

**Andrzej Kołodziejek**
**Zduńska Wola**

Szanowny Panie Redaktorze!

Szczęśliwym wydarzeniem muszę nazwać nabycie tygodnika „Odgłosy" z dnia 23. XI. Po przeczytaniu artykułu Pana Redaktora pt. „Na mapie i poza mapą" byłam nareszcie usatysfakcjonowana, a nawet szczęśliwa że znalazł się mądry człowiek, który w porę poruszył ten wysoce krzywdzący stan terytorialny województwa miejskiego łódzkiego, który zaistniał w maju 1975 roku.

Szanowny Panie Redaktorze, nadszedł jedyny czas, jedyna okazja, aby ten stan rzeczy zmienić i chociaż skromnie, jak Pan Redaktor proponuje, przyłączyć tych trzynaście gmin do województwa miejskiego łódzkiego.

Panie Redaktorze, sytuacja w jakiej od 5 lat znajduje się miast Łódź jest poważna. Nie możemy przewidzieć dalszych lat w rolnictwie, mogą być równie ciężkie jak ten obecny. Dlaczego ludność Łodzi ma oczekiwać na to, aby nam ktoś inny podał kawałek chleba? Każdy myśli tylko o sobie. Musimy walczyć o zmianę tej naszej okropnej sytuacji. I tylko teraz możemy to osiągnąć. Przecież różni fachowcy wypowiadają się, aby społeczeństwo także przyczyniało się do polepszenia sytuacji gospodarczej. Więc przyczyńmy się sami dla siebie. Koniecznie trzeba tego dokonać, bo sam Pan to doskonale wie, jakie to jest krzywdzące, poniżające i spychające Łódź na margines znaczenia i sytuacji w skali państwa.

Panie Redaktorze, Pan ma dostęp i do Prezydenta Miasta Łodzi, i do Komitetu Łódzkiego PZPR, i do ekonomistów, których ta biedna Łódź posiada, aby wspólnie wystąpić z takim żądaniem. Będzie to żądanie jak najbardziej słuszne, które naprawi krzywdę wyrządzoną przed 5 laty mieszkańcom Łodzi. Nie mogę zrozumieć, jak mogli ojcowie miasta Łodzi dopuścić do takiego stanu rzeczy, jakim argumentem stolica przekonała naszych przedstawicieli, chyba tym, że krępując miasto Łódź, podcinając jej życiodajne korzenie, odbierze się łódzkiej społeczności robotniczej inicjatywę do słusznych często żądań. Liczę całkowicie na Pana działanie w tej sprawie, bo sama już nic nie mogę, jestem rencistką od 10 lat.

Pozostaję z wysokim poważaniem

**Cecylia Owczarek**

POLITYKA

# „O ZNACZENIU ŚRODKÓW KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ W POLSCE I ROLI SDP W ICH ROZWOJU"

## (ocena wstępna wniosków z dyskusji Nadzwyczajnego Zjazdu SDP)

Wszystkie analizy przyczyn kryzysu politycznego i gospodarczego w Polsce wskazują, że istotnym czynnikiem tego kryzysu był sposób funkcjonowania systemu środków społecznego komunikowania. Ich sposób funkcjonowania odpowiadał sprzecznej z duchem socjalizmu, realizowanej w praktyce doktrynie, według której zadaniem propagandy jest urabianie świadomości społecznej, narzucanie ocen i opinii, a zadaniem dziennikarzy pouczanie i strofowanie swych czytelników, słuchaczy i widzów. Ta doktryna propagandy za naturalny przyjmowała ostry podział na tych, którzy rządzą oraz tych, którzy mają słuchać i wykonywać polecenia.

Fakty wykazały, że monopol informacyjny zagraża najżywotniejszym interesom społeczeństwa, któremu odbiera szansę integracji i naturalnego rozwoju. Działa on także przeciwko samej władzy, prowadzi bowiem do erozji postaw moralnych tak aparatu władzy jak obywateli, do paraliżu mechanizmów współpracy społecznej.

Kontrolę nad prasą, radiem i telewizją sprawowała dotychczas nie partia, lecz biurokracja partyjna, administracyjna i gospodarcza. Objawiało się to w zakazach, o czym informować nie wolno, i w nakazach o czym należy pisać i mówić obowiązkowo. Przyjmowano jako założenie, że można i trzeba osiągnąć jednomyślność społeczeństwa we wszystkich sprawach. To założenie wraz z przedstawionym uprzednio sposobem traktowania środków masowego komunikowania się musiało doprowadzić do sytuacji, w której przedstawiciele władzy nie czytają prasy informacyjnej własnego kraju, ponieważ z góry wiedzą, co w niej powinno być napisane, a społeczeństwo nie wierzy nawet prawdziwym wiadomościom podejrzewając w nich kolejną próbę manipulacji.

Społeczeństwo porozumiewało się poza oficjalnymi środkami przekazu, a faktyczny monopol informacyjny został przejęty przez zagraniczne radiostacje. W konsekwencji doszło do zerwania kontaktu władzy ze społeczeństwem, skutek wszystkich propagandowych zabiegów okazał się przeciwny zamierzeniom.

Wobec takich doświadczeń znaczenie właściwego funkcjonowania środków komunikacji społecznej dla prawidłowego funkcjonowania socjalistycznego systemu społecznego w Polsce stało się dziś oczywistością. Bez ich właściwej, autentycznej roli niemożliwe jest ani porozumienie między obywatelami, ani porozumienie między obywatelami i władzą. Dlatego zjazd wyraża przekonanie, że członkowie Stowarzyszenia — a wśród nich członkowie partii i innych stronnictw politycznych powinni służyć swoją pracą socjalistycznemu systemowi społecznemu w Polsce w całości, a nie poszczególnym grupom lub osobom w aktualnym aparacie władzy, służyć swoim ideałom politycznym, a nie bieżącym i doraźnym dyspozycjom takich grup lub osób. Państwo, partia i stronnictwa polityczne, organizacje społeczne mogą przy pomocy swego aparatu prowadzić propagandę, czyli urabiać opinię publiczną na korzyść danych koncepcji, poglądów lub ideałów; jednakże takie aparaty propagandy powinny ograniczyć swą rolę we współpracy z dziennikarzami, do ustalania ogólnych kierunków polityki, opiniowania i nadzoru, nie ingerując w bieżący tok redagowania gazet czy też realizacji programów radiowych i telewizyjnych. Przy działaniu urzędu cenzury w sposób ograniczony i zdefiniowany ustawą takie zasady współpracy ułatwią dziennikarzom prawidłowe spełnianie ich podstawowych obowiązków społecznych w służbie informacji i społecznego porozumienia się.

Członkowie naszego Stowarzyszenia muszą zrobić wszystko, co leży w ich mocy, dla wyprowadzenia środków masowego komunikowania się ze stanu kryzysu, w jakim się znalazły. Warunkiem przywrócenia im społecznego zaufania i warunkiem skutecznego w przyszłości funkcjonowania jest mocne ugruntowanie zasady jawności życia publicznego na wszystkich szczeblach politycznych i państwowych oraz tworzenie drożnego systemu obiegu niemanipulowanej informacji. Wprowadzenie zasady jawności życia publicznego zależy nie tylko od gwarancji legislacyjnych, lecz także od szeroko pojętej demokratyzacji kraju oraz od jej ugruntowania w praktyce i świadomości społecznej. Wybrani w autentycznym głosowaniu uczestnicy Nadzwyczajnego Zjazdu SDP, których większość to członkowie PZPR, ZSL i SD, są przekonani, że niezbędnym elementem demokratyzacji życia politycznego w kraju oraz jej trwałości jest respektowanie zasad wewnętrznej demokracji we wszystkich ogniwach i instancjach partii oraz stronnictw politycznych i organizacji społecznych, a także umocnienie kontrolnej roli Sejmu PRL i innych organów przedstawicielskich oraz wszelkich instytucji społecznego samorządu.

W tym procesie demokratyzacji kraju Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich powinno odgrywać istotną rolę, powinno stać się jednym ze strażników jawności życia publicznego oraz swobody obiegu informacji. Powinno wywierać wpływ na kształtowanie modelu i funkcjonowanie systemu masowego komunikowania się. W związku z tym zjazd zobowiązuje nowo wybrane władze Stowarzyszenia do aktywnej współpracy nad opracowaniem raportu o stanie komunikacji społecznej w Polsce, analizującego doświadczenie przeszłości i wskazującego zasady oraz warunki prawidłowego ich funkcjonowania w socjalistycznym systemie społecznym naszego kraju. Zjazd zobowiązuje te władze, jak też władze oddziałów Stowarzyszenia do systematycznego, okresowego formułowania opinii o aktualnym stanie komunikacji społecznej w całym kraju (lub na terenie działalności oddziałów) i o polityce informacyjno-propagandowej państwa, partii i stronnictw politycznych oraz innych organizacji społecznych. Zjazd zobowiązuje jednocześnie nowo wybrane władze Stowarzyszenia do aktywnego udziału w pracach nad ustawą o cenzurze, a następnie w pracach nad prawem prasowym.

Gwarancją właściwej roli naszego Stowarzyszenia powinny być, zdaniem zjazdu, nowe instytucje w systemie organizacyjnym Stowarzyszenia. Podniesieniu autorytetu naszego środowiska zawodowego będą służyły nie tylko te wspomniane wyżej nowe instytucje wewnątrzorganizacyjne, ale także postulowane zasady współudziału ogniw Stowarzyszenia w kształtowaniu polityki kadrowej wydawców prasy i zwierzchników komitetu radia i telewizji (m.in. prawo zespołów redakcyjnych do akceptowania lub odrzucania kandydatur do stanowisk redaktora naczelnego, do obrony odwoływanych redaktorów naczelnych, jeśli zespół uzna odwołanie za nieuzasadnione, do zgłoszenia sprzeciwu wobec dalszego pełnienia funkcji przez redaktora naczelnego, o ile odpowiednia instancja Stowarzyszenia uzna taki sprzeciw za uzasadniony interesem społecznym (zjazd zobowiązuje nowo wybrane władze Stowarzyszenia do podjęcia działań na rzecz zrównania w prawach wszystkich zespołów redakcyjnych mając w szczególności na uwadze redakcje gazet zakładowych i zakładowych rozgłośni — ich rola w nowej sytuacji społecznej kraju może być ogromna, jeśli zostaną wyłączone z dyspozycji dyrekcji oraz innych decydentów w obrębie zakładów, branż i resortów. To samo dotyczy prasy związkowej jak też czasopism środowiskowych i zawodowych.

Istotnym elementem gwarancji prawidłowego funkcjonowania środków komunikacji społecznej w Polsce będzie też dbałość Stowarzyszenia o przestrzeganie dziennikarskich norm etycznych przez każdego członka Stowarzyszenia. Naruszanie ich nie jest osobistą sprawą winnego, jest aktem skierowanym przeciw całemu środowisku zawodowemu, przeciw jego statusowi i wiarygodności. Zjazd zobowiązuje nowo wybrane władze Stowarzyszenia do przeprowadzenia weryfikacji jego członków tak pod względem zgodnych ze statutem podstaw przynależności, jak przestrzegania dziennikarskiego kodeksu obyczajowego, a jednocześnie do prac nad weryfikacją zespołu norm, regulujących prawa i obowiązki dziennikarza. Normy te w nowej, zaktualizowanej wersji powinny zostać poddane ogólnośrodowiskowej dyskusji i przekazane szerokiej opinii publicznej, upoważnionej tym samym do społecznej kontroli nad ich wykonaniem.

Zjazd wyraża nadzieję, że zachodzące zmiany w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym kraju przyniosą szeroki rozwój środków komunikacji społecznej w Polsce. Oznacza to zarówno wzrost nakładów prasy, jak i przyszły rozkwit lokalnych gazet, rozgłośni i stacji telewizyjnych, niezbędny dla procesów integracji społecznej, dla policentryzacji życia kulturalnego i społecznego w kraju. Działania w tym kierunku powinny doprowadzić do trwałego przełamania monopolu ośrodka stołecznego w przekazywaniu informacji i formułowaniu poglądów dotyczących całego kraju, inaczej bowiem nadal nie będzie możliwe szybkie i rzetelne informowanie opinii publicznej o faktach i procesach zachodzących poza Warszawą, a mających znaczenie ogólnokrajowe.

Zjazd wyraża również nadzieję, że wszelkie znaczące w życiu kraju środowiska społeczne uzyskają szansę pełnego wyrażania swych poglądów poprzez własne gazety i czasopisma o nakładach odpowiadających społecznemu zapotrzebowaniu. Dotyczy to w chwili obecnej przede wszystkim prasy nowego ruchu związkowego, jak też prasy innych poza PZPR stronnictw politycznych oraz prasy katolickiej i prasy innych wyznań.

Rozwój środków komunikacji społecznej oznaczać musi odrodzenie lub pojawienie się nowych instytucji w ich funkcjonowaniu, takich jak inne obok Polskiej Agencji Prasowej agencje informacyjne, lub rozszerzenie prerogatyw rzecznika prasowego rządu o stały obowiązek wyrażania poglądów władz na aktualne wydarzenia polityczne, co zdejmie odpowiedzialność za to z Polskiej Agencji Prasowej. Jesteśmy zdania, że program taki, wzbogacony inicjatywami wszystkich zainteresowanych środowisk i przy ich współpracy, spotka się z żywym poparciem tak społeczeństwa, jak władz naszego kraju, ponieważ społeczeństwu zapewnia podmiotowość, a władzy — możliwość skutecznego porozumiewania się ze swymi współobywatelami.

Stowarzyszenie nasze skupia ludzi o różnych poglądach na świat i różnych przekonaniach, którzy zarówno swoim piórem jak działalnością pragną służyć narodowi. Pomne świetnych wielowiekowych tradycji prasy i publicystyki polskiej Stowarzyszenie będzie dążyło do zapewnienia środowisku dziennikarskiemu autorytetu moralnego i zaufania społecznego. Rodowód nasz, jak wiadomo, sięga pierwszych dzieł o naprawie Rzeczypospolitej i prowadzi przez doświadczenia walk o niepodległość i sprawiedliwość społeczną. Pragniemy kontynuować ten nurt dziennikarstwa w Polsce Ludowej, który dawał świadectwo prawdzie, wyrażał głębokie aspiracje społeczeństwa i służył ideałom demokracji socjalistycznej. Czujemy się zobowiązani dbać o to, by nie powtórzyły się niechlubne praktyki przeszłości, które odbierały naszemu zawodowi jego sens i godność. Moment historyczny, w którym podejmujemy tę uchwałę, pozwala żywić nadzieję, że dziennikarstwo polskie na trwałe odzyska wiarygodność i będzie uczciwie służyło porozumieniu społecznemu dając zawsze świadectwo prawdzie.

PRZED IX ZJAZDEM PZPR

## Z LISTÓW

Uchwały VI i VII Plenum KC PZPR zapoczątkowały dyskusję nie tylko o sprawach społecznych, ale też o sprawach partii. Podobna dyskusja toczyła się niedawno przed VIII Zjazdem PZPR. Ale wtedy zmarnowano wielki kapitał ludzkiej troski, pomysłowości, wiele wniosków i postulatów, które wprowadzone w życie znacznie mogły złagodzić kryzys. Dziś już uczynić tego nie wolno.

Ludzie dyskusję o sprawy naszego kraju traktują poważnie. Chcą w tej dyskusji uczestniczyć. Chcą, aby liczył się w niej ich głos. Chcą też ponosić odpowiedzialność za wspólne sprawy. Tę myśl wyrażają w listach nadsyłanych do naszej redakcji.

**Cecylia Owczarek** pisze między innymi, że popiera **„wnioski o całkowitym usunięciu skompromitowanych członków partii. Są one jak najbardziej konieczne. Społeczeństwo na to czeka".** VII Plenum KC PZPR podjęło w tej sprawie odpowiednie decyzje. **Cecylia Owczarek** wiąże też wielkie nadzieje z IX Nadzwyczajnym Zjazdem partii, który według niej powinien przyczynić się do pełnej przebudowy partii.

**Kazimierz W.** (nazwisko i adres znane redakcji) natomiast zastanawia się nad zbiurokratyzowaniem aparatu partyjnego. Uważa on, że wszyscy pracownicy aparatu partyjnego w Łodzi powinni zmieścić się w jednym „Domu partii", a inne zwolnić na cele społeczne. **„Mało mamy przecież żłobków, przedszkoli"** — pisze Kazimierz W.

Nie są to nowe propozycje. O rozroście administracji — nie tylko partyjnej — mówimy i piszemy od dawna. Wszakże zmniejszy się ona tylko wtedy, jeśli aparat władzy zacznie opierać się na innych zasadach zarządzania, bardziej demokratycznych, pozostawiających poszczególnym jednostkom większą samodzielność, jeśli partnerem administracji stanie się samorząd we wszelkich jego postaciach. Podobnie sprawa wygląda i w aparacie partyjnym. Kiedy przestanie on dublować administrację, kiedy wzrośnie rola organizacji partyjnych, wówczas okaże się, że i aparat partyjny został nadmiernie rozbudowny, zbiurokratyzowany. A przecież w ogóle jest on partii potrzebny do sprawnego funkcjonowania.

**L. W.**

## JAK WYBIERAĆ?

Jak wybierać? Kogo wybierać? Kto zdecyduje o wyborze? Czy rzeczywiście świadome głosy szeregowych członków partii? Dotychczasowy tryb wyborów na delegatów uwzględniał pewien procent robotników, chłopów, inteligencji, kobiet, młodzieży... I co? No, właśnie. I wybrano przeważnie pod dyktando, nie zawsze nawet wiadomo czyje. Aby tylko była pełna reprezentacja województwa jednego, województwa drugiego, ...czterdziestego dziewiątego.

Było wśród delegatów na pewno wielu ludzi godnych, rozumnych i nawet wybitnych. Ale byli i tacy, którzy nie tylko delegatami być nie powinni. Nie powinni być w ogóle członkami partii. Od delegatów zależy bowiem, co uchwalą, kogo wybiorą do centralnych władz partii. I przede wszystkim, w jakim kierunku pójdzie rozwój Polski. To oczywiste. To bardzo dużo. To bardzo ważne.

Na górze coś się zmieniło. A i zmiany personalne są niemałe. Na dole przestano się bać. Nie ma już prawie drętwej mowy. Zebrania POP nie chcą już wysłuchiwać zgrzytliwego bełkotu. A co w dużych miastach, dzielnicach, województwach?

Tadeusz Grabski powiedział w czasie obrad VI Plenum KC PZPR, że „kolejny raz potwierdza się prawda, że najtrudniej schodzą ze sceny kiepscy aktorzy". Pozwalam sobie myśl tę poszerzyć i odnieść ją nie tylko do tych „z góry", którzy już odeszli. Ale również do ludzi ze szczebla średniego. Tu, na tym właśnie szczeblu, hipokryzja wprost szaleje. Toż to w różny sposób mianowana kadra średniego szczebla. Wśród niej przyczaiło się niemało takich, którym brak godności osobistej, aby ustąpić i odejść z własnej woli. To ci niektórzy, a jest ich niemało, którzy będą się znowu rozpychać łokciami, byle tylko nie utracić zdobytej pozycji społeczno-osobistej. Przypomną publicznie, jak to już od dawna oceniali sytuację krytycznie. Jak to już od dawna informowali i zwracali uwagę „górze". Że w województwie zaraza, chaos, bajzel — to nie oni, to „góra". Że słaba wydajność pracy, że produkcja bubli — to nie oni, to „doły". Oni mówili, oni informowali, oni ostrzegali. Oni są dzisiaj oburzeni, że robotnicy śmią czegokolwiek chcieć. To, ich zdaniem, tylko niektórzy robotnicy, a najwięcej ci młodzi, co to sami niczego jeszcze nie doświadczyli i mało jeszcze z siebie dali. To wśród nich, tych młodych, są burzyciele porządku, a nawet przeciwnicy socjalizmu. Natomiast oni, gdybyśmy im choćby jeszcze jeden raz zaufali, gdybyśmy ich wybrali delegatami na Zjazd partii, to oni już wiedzą, oni już myślą po nowemu i na pewno wygarną, jak naprawić Polskę. A my ich (niewdzięczni) nie chcemy.

Skoro nie chcemy, aby tacy nas reprezentowali na Nadzwyczajnym Zjeździe partii. Skoro nie chcemy, aby przeszkadzali w zmianach struktury funkcjonowania partii. Skoro nie chcemy, aby nas obrażali, trzeba im zamknąć drogę do Zjazdu.

Jaki więc przyjąć mechanizm wyboru delegatów nad Nadzwyczajny Zjazd partii?

1. Ilu powinniśmy wybrać delegatów, żeby nie było ich ani za dużo, ani za mało. Żeby było demokratycznie, ale żeby Zjazd nie utonął w powodzi słów. Żeby była reprezentowana cała partia, ale żeby Zjazd nie podzielił się na frakcje i różne inne wąskie grupy interesów. Bo nie każdy taki interes musi być interesem socjalistycznej Polski.

Jest nas trzy miliony. Jeśli przyjmiemy, że jeden delegat reprezentowałby trzy tysiące członków partii, to trzeba by wybrać aż tysiąc delegatów. To chyba trochę dużo? Chcemy przecież, żeby był to Zjazd roboczy, twórczy i jednocześnie operatywny w swym działaniu.

Wypowiadam się za nieco mniejszą liczbą delegatów na Nadzwyczajny Zjazd. Może 700, może 800 towarzyszy autentycznie najlepszych spośród nas, spośród trzech milionów.

2 Proponuję zrezygnować z wyboru delegatów na konferencjach wojewódzkich. Ten tryb terytorialno-administracyjny i nadmiernie zbiurokratyzowany nie gwarantuje w pełni właściwego wyboru.

Proponuję wybierać delegatów na Nadzwyczajny Zjazd w dużych POP oraz na konferencjach środowiskowych w skali województwa i w skali kraju. Np. środowisko włókniarzy niech wybierze delegatów spośród siebie. Górnicy spośród siebie. Budowlani spośród siebie. Środowisko kultury spośród siebie. Stoczniowcy, hutnicy, rolnicy, organizacje młodzieżowe, związki zawodowe i inne organizacje społeczne. I administracja spośród siebie, itp. I to w skali regionalnej i na szczeblu krajowym.

Dopasowanie właściwego klucza liczbowego wyboru delegatów z poszczególnych środowisk, od strony technicznej wymagała siły fachowej. Można to zlecić GUS. I po konsultacji z kilkudziesięcioma POP zatwierdzić na Plenum KC.

Kierownicy życia partyjnego i państwowego — mam na myśli obecne kierownictwo — też wywodzą się ze ściśle określonych środowisk. I w tych właśnie środowiskach powinni mieć pełne prawo kandydowania na delegatów. Dotyczy to również kierowników życia politycznego i państwowego szczebla wojewódzkiego. Niech środowiska społeczno-zawodowe zadecydują kogo z nich wybrać delegatem.

3. Delegaci na Nadzwyczajny Zjazd powinni uwzględniać w swej pracy na Zjeździe — z jednej strony problemy nurtujące własne środowisko, zaś z drugiej — wymiar globalny całej partii i państwa. Musi to być prezentacja spójna, bez tendencji partykularnych.

Będzie to ciężka praca i wielka odpowiedzialność. Właśnie dlatego delegatami muszą być najlepsi spośród nas, bo tylko tacy podołają zadaniom Zjazdu.

4. Biuro Organizacyjne Nadzwyczajnego Zjazdu winno wykorzystywać do pracy dla Zjazdu wszystkich członków partii, którzy będą przydatni tak ze względów ideowo-merytorycznych jak i organizacyjnych. Ale kierownikami wszystkich Komisji Zjazdu jak i Biura Organizacyjnego Zjazdu muszą być delegaci. Im to przecież powierzymy ciężar wyprowadzenia partii i kraju z kryzysu. I wypracowania takich mechanizmów, które nas uwolnią i na przyszłość, i już na dziś, i od ciężkich błędów, i ciężkich wypaczeń.

**ZDZISŁAW BARANOWSKI**

## W SPRAWIE ŚWIATOPOGLĄDU

Jako członek partii od 10 lat, nie posiadający światopoglądu ateistycznego, z satysfakcją podpisuję się pod tezami „Manifestu komunistów" i „Co robić?". W szczególności zafascynowany jestem dwoma tezami.

Teza pierwsza.

„Co robić": „Trzeba zerwać z pokutującym gdzieniegdzie jeszcze przesądem, że jedynym źródłem inspiracji socjalistycznej może być światopogląd ateistyczny. W marksizmie nie ateizm jest istotny, lecz humanizm, wiara w człowieka i postęp społeczny".

Nic dodać, nic ująć. Chociaż wydaje mi się, że przesąd, o którym mowa wyżej, pokutuje nie tylko „gdzieniegdzie". Pokutuje on chyba również w poglądach autora artykułu.

Teza druga.

„Manifest komunistów": „Uważamy przeszły, a szczególnie wczesnopowojenny stosunek do panującej w kraju religii katolickiej za lekceważenie zasad dostosowywania idei rewolucji socjalistycznej do realiów życia społecznego. Uważamy to za niebywale szkodliwe doktrynerstwo. Opowiadamy się przy tym za nieskrępowaniem ludzkiej refleksji nad życiem, za istnieniem i rozwojem zarówno materialistycznej jak i idealistycznej orientacji filozoficznej".

Dziwi mnie komentarz L. Włodkowskiego do zacytowanych tez. Jesteśmy zgodni co do tego, że „jeśli chodzi o tolerancję, to nie ma w tej sprawie wątpliwości", możemy po-

# BYĆ KONSTRUKTOREM

## (rozmowa z mgr inż. ANTONIM WOLAŃSKIM z ŁZR „Fonica")

Co to znaczy być konstruktorem? — zapytałem mgr inż. *Antoniego Wolańskiego z Łódzkich Zakładów Radiowych.*

*— To śmieszne, ale mit konstruktora — arystokraty, co to skrobie coś tam na desce, wymyśla stale coś nowego i dostaje za to bajońskie wynagrodzenie — funkcjonuje nie tylko w umysłach naszych milusińskich. Stykamy się z tym właściwie na co dzień. Dlaczego? Nie potrafię tego logicznie wytłumaczyć, ale to chyba jeszcze sprzed wojny funkcjonująca nazwa hasło, tak jak PAN DOKTOR, czy PAN INŻYNIER...*

*— Wszyscy młodzi ludzie, bo tak było i w moim przypadku, już po uzyskaniu angażu i przystąpieniu do pracy — są w swoim zakładzie prostowani i naginani. Co to znaczy? Wyprostować się trzeba po edukacji na wyższej uczelni, która — co tu ukrywać — do fachu konstruktora nie przygotowuje prawie wcale. Okres tego prostowania zależy od wielu czynników, trwa przy tym z reguły około dwóch lat. No a w międzyczasie nagina się delikwenta do warunków zakładu, do rozmaitych charakterystycznych dla niego uwarunkowań, do ludzi. I okazuje się wtedy, że najlepiej, podejmując taką pracę — nie mieć o niej żadnych wyobrażeń, nawet najśmieszniejszych, dziecinnych. Ja właśnie takiego obrazka przed oczyma nie miałem i... chyba dlatego nadal tu pracuję. Po prostu chciałem być konstruktorem...*

*— Oczywiście, nie zapomina się nigdy swojej pierwszej pracy, swojego pierwszego zadania. Pamiętam, że prawie od progu trafiłem na potężną robotę. I dobrze, bo tak być powinno. Miałem wówczas adaptować do naszych warunków duży wzmacniacz PA-428. Trochę mi wprawdzie mina zrzedła, kiedy sukcesywnie i lawinowo zaczęły spadać na mnie inne dodatkowe „podtematy" eksportu, importu, technologiczne, zaopatrzeniowe itp., itd. To wszystko miałem poznać, rozgryźć, wyjaśnić i zrozumieć — ja, absolwent wydziału elektrycznego, pasowany w „Fonice" na konstruktora. Oj, dobra to była, ale przyznaję, że i wyjątkowo męcząca szkoła....*

*— Parę słów muszę powiedzieć o licencjach i współpracy z renomowanymi firmami tej branży. Jestem zdecydowanie za współpracą, za międzynarodową kooperacją; współcześnie prawie niemożliwe jest być we wszystkim najlepszym. Z tym, że zakup licencji jest ostatecznością, nie powinien być regułą. Korzystniej jest przecież współpracować i wymieniać, bo to i taniej i szybciej. Ważne jest tylko to, aby obydwie strony były siebie warte, bo słabszy zawsze straci i wypadnie z gry. Z każdego zawartego do tej pory kontraktu korzystamy — i to w różnych postaciach. Nie jest to tylko gotowy wyrób na sklepowej półce. To także — o czym zapomina się najczęściej w ferworze dyskusji — sprawa stylu pracy, jej organizacji, kultury — czyli tego wszystkiego co u nas przecież tak mocno kuleje. A tego nie ma w umowie o współpracy, czy kontrakcie licencyjnym, prawda? To trzeba zobaczyć samemu, podejrzeć, przemyśleć. Ot, chociażby taka sprawa: w renomowanej firmie od pomysłu do powstania modelu upływa — w zależności od rodzaju sprzętu — od tygodnia do trzech miesięcy. U nas — pracujemy właśnie nad nową rodziną urządzeń — minęło już ponad pół roku, a ciągle jeszcze jesteśmy „w trakcie". Niestety, to wymaga radykalnej zmiany stylu pracy, optymalizacji sieci wzajemnych powiązań, eliminacji zbędnej papierkowości. Ważny jest cel nadrzędny — dobry wyrób finalny, wszystko inne winno być temu podporządkowane. A tymczasem, jak przychodzą rano do pracy i czasami autentycznie nie wiem za co się najpierw łapać — to mi się robi jakoś tak dziwnie. U „Thomsona" na przykład w ciągu dnia konstruktorzy składają do specjalnych pojemników zamówienia na dzień następny — co im trzeba, jakie opracowanie, jakie dane. „Umyślny" zbiera to bodaj dwa razy i wkrótce inny pracownik przynosi to czego się oczekuje, co jest pomocne w pracy. Ilość ludzi zajmujących się danym tematem ograniczona jest do niezbędnego minimum.*

*— Jeżeli ja wiem, że gdzie indziej kontrahent daje stosunkowo jasne wytyczne co do oczekiwanego wyrobu, jeżeli podpowiada funkcje urządzeń, gabaryty, kolor, jeżeli daje na dokładkę szkic płyty czołowej — słysząc o czymś takim można potraktować to jako dobry kawał. Jest to jednak dla mnie informacja, że to tak właśnie powinno być zorganizowane.*

*— Nie takie to znów odległe u nas czasy, kiedy zaczynem twórczej pracy konstruktora było powiedzenie: trzeba by coś zrobić, tylko co to ma być? Dopiero powołanie Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Sprzętu Elektronicznego Powszechnego Użytku trochę nam pomogło. Unikamy sytuacji, kiedy gramofon nie pasował do magnetofonu, a ten z kolei do radioodbiornika. Ustala się teraz linię plastyczną i opracowuje nowe wyroby kompleksowo. To z kolei nie zmienia wcale mojej opinii, że centralizm w tej dziedzinie ciągnie za sobą pewien bezwład. Trochę te działania są oderwane od życia, od realiów i możliwości zakładu biorącego to „coś" do siebie. W niektórych przypadkach ta działalność roboty nie tylko nie umniejsza, ale wręcz przydaje, jak jest na przykład we wspomnianym już uruchamianiu nowej rodziny urządzeń...*

*— Czas jest dla konstruktora tym czego brakuje mu najbardziej i na dobrą sprawę stale. Gdyby tak kiedyś siąść i policzyć, ile godzin marnuje się na rozliczne dodatkowe czynności, które — tak uważam — nie powinny być nigdy przypisane konstruktorom, to nikt by w to nie uwierzył. Proszę bardzo: najpierw trzeba pozbierać dane wyjściowe, postarać się je połączyć i spasować z możliwościami produkcyjnymi zakładu, poszukać odpowiednich cyfr w cennikach — których zresztą nie ma lub są nieaktualne (cenników elementów z importu brak), sporządzić sterty wykazów i kosztorysów, zorientować się także czego można oczekiwać po zaopatrzeniu, narysować szereg rysunków potrzebnych do pracy innym działom... Są to wszystko rzeczy ważne, potrzebne — do tego co się nazywa przygotowaniem produkcji. Tylko, że to wszystko robi się jeszcze w chwili, kiedy nie wiemy jak wyglądać będzie poprawny, sprawdzony model.*

*— Weźmy z tej, wymienionej wyżej, przydługawej listy chociażby rysunki. Jeżeli dla danego wyrobu wykonuje się setkę arkuszy, to z tego może piąta część może jeszcze być do czegoś potrzebna. A reszta? Różnie to bywa, najczęściej po prostu trzeba je zrobić. Na politechnice uczono, że rysunek powinien być kwintesencją myśli, powinien być lakoniczny. A życie uczy, że nie jest tak, iż rysunek robi inżynier, a czyta to mistrz. Czasami jest to po prostu człowiek z siedmioma klasami szkoły podstawowej — więc na wszelki wypadek wszyscy się asekurują, aby „w razie czego" kontrola nie mogła się przyczepić, że tych rysunków za mało naprodukowaliśmy. Inżynierów — na tysiąc pracujących — mamy tylu co RFN — a na pytanie co robisz? — jeden z moich kolegów, mgr inż. konstruktor odpowiada mi szczerze: ja tu zamiatam...*

*— No albo bałagan z modelami proponowanych wyrobów. Generalnie jest ich za mało. Tylko, że „z prędkości" nie można wykonać więcej. A potem, kiedy wszystkie egzemplarze rozejdą się gdzieś po wystawach, targach, kiedy służą jako podarek i zdobią czyjś gabinet — mamy tu istotne urwanie głowy. Okazuje się czasami, że nie ma pełnej dokumentacji, czy nawet zdjęcia. Nie trudno więc sobie wyobrazić co się u nas dzieje, kiedy dostajemy polecenie o uruchomieniu produkcji „na wczoraj"...*

*— O polskich normach mówił nie będę, bo to i temat rzeka i... szkoda w ogóle czasu. My mamy normy? Nie, my mamy super normy! Jeżeli np. kilka lat temu radioodbiornik „Sanyo" miał być sprzedawany na krajowym rynku, to — w co wprost trudno uwierzyć — trzeba go było przekonstruować, ponieważ eksploatacja zagrażała... zdrowiu i życiu użytkowników! A przecież ten sam produkt na Zachodzie był niezwykle popularny i poszukiwany — jakoś się nie doczytałem, by ludzie ginęli słuchając muzyki na nim odtwarzanej. Tak, ci co przywozili te urządzenia z zagranicznych wojaży nie wiedzieli chyba, że cudem uniknęli śmierci. Dobrze, że mamy takie normy — to one uratowały wiele istnień ludzkich...*

*— Nadal nie rozumiem także, dlaczego oglądając zaznaczone na rysunku okablowania, przewód — muszę mieć do czynienia z „pozycją", która objaśniona jest w innym, dodatkowym dokumencie, który od czasu do czasu odsyła mnie jeszcze do trzeciego...*

*— Nie jestem złośliwy, ale kolejnym kamieniem pod nogami konstruktora — jest taśma produkcyjna. O kulturze wykonawstwa nie odważę się powiedzieć ani słowa — dotyczy to głównie kooperantów. Co tu zresztą mówić, kiedy i tak powszechnie wiadomo, że w ostatecznym rozrachunku liczy się zawsze ilość — a nie jakość. Plan to jest to, co wisi nad głowami wszystkich zatrudnionych. „Pod" plan robi się więc wszystko. A jak z planem źle, to najpierw rozlicza się z tego konstruktorów — że nie przewidzieli, że nie dopilnowali na czas. Tak samo jest zresztą ze zmniejszaniem stanu zatrudnienia — jak przychodzi taka dyspozycja, to od razu wiadomo, że w pierwszym rzędzie „padnie" na konstruktorów...*

*— Ja jestem i muszą być cały czas przy swoim wyrobie. To dlatego właśnie moja praca nie kończy się nigdy. Sam to sobie jak gdyby podpowiadam, bo muszę przecież w dokumentacji przewidywać rozwiązania alternatywne. Ale znowu sama dokumentacja jest sztywna, nie umożliwia wprowadzenia zbyt dużej ilości wariantów — po prostu rozrosłaby się do monstrualnych rozmiarów. Zmiany, ciągle musimy z najprzeróżniejszych względów robić zmiany; one w końcu też mają swój kres — bo w pewnym momencie zginąłbym pod papierami i z konieczności należałoby wstrzymać produkcję...*

*— Muszę być przy desce kreślarskiej i w magazynie zaopatrzeniowym, i u kooperantów, i przy taśmie montażowej. Wszędzie! Mam przecież w karcie pracy wyszczególnione trzy rubryki: nowe uruchomienia, prace administracyjne i obsługa bieżącej produkcji. To właśnie będzie chyba najkrótsza odpowiedź na pytanie postawione na wstępie...*

*— Znacznie lżej byłoby już w przypadku, gdyby pełniejsza informacja na temat tego, co świat ma aktualnie w danej kwestii do powiedzenia, z czego i za ile to robi. Jest wprawdzie i u nas taka służba, ale bez własnych poszukiwań, bez chęci sprzedania tego co znaleźliśmy i bez swoich kontaktów — bylibyśmy ślepi i głusi. W szczególności dotyczy to informacji marketingowej popartej analizą komputerową. Jako ripostę usłyszałem kiedyś — proponując coś takiego — przeciągle: gadanie, to utopia. A ja uważam, że to nie utopia — tylko rzeczywistość. Szkoda, że nie u nas. Całe szczęście, że jeździmy na różne imprezy handlowe i w ten sposób usiłujemy zamknąć sprzężenia zwrotne: klient — wytwórca — świat — my. Bez tego mielibyśmy związane ręce...*

*— Moje perspektywy awansu? W tym fachu są one szczególnie ograniczone. Jest gdzieś kres przeszeregowań, a kilkusettysięczne premie za coś tam — wytworzyła ludzka wyobraźnia. Można je otrzymywać: za patenty czy wnioski racjonalizatorskie Jest jednak jedno „ale". Jeżeli się jest „dobrym" konstruktorem, to na składanie wniosku nie ma ani czasu ani możliwości — wyrób jest prawie doskonały i trudno go ulepszyć. Będąc z kolei „złym" konstruktorem można w nieskończoność poprawiać własny wyrób, pobierając za to dodatkową opłatę samemu — bądź też przez osoby, na które dana zmiana jest zarejestrowana. Zakładowi de facto na posiadaniu patentów nie zależy: jeżeli zakład posiada jakiś patent, to głównie wynik maniakalnego uporu wynalazcy. Zdaję sobie sprawę, że stwierdzenie to jest kontrowersyjne — ale tak jest...*

*— Zarabiamy przeciętnie, po podwyżkach wynagrodzenie z premią w wysokości 5 000 zł jest już duże, a najwyższą formą awansu i uhonorowania jest posadzenie na kierowniczym stołku. W ten oto prosty sposób wyrwanym zostaje się z zawodu i mianowanym biuralistą. Wtedy to już autentycznie brakuje czasu, by po prostu być konstruktorem — mimo iż właściwie nadal się nim jest...*

**Notował: DARIUSZ SŁOMA**

---

wołać się na Konstytucję i gwarancje w niej zawarte. Musimy jednakże nie mieć również wątpliwości co do praktyki powojennych dziesięcioleci w omawianym zakresie. Nie możemy mieć wątpliwości co do tego, że w praktyce lekceważono „zasady dostosowywania idei rewolucji socjalistycznej do realiów życia społecznego", i to jak bardzo lekceważono. Nie możemy mieć wątpliwości co do tego, że było to „niebywałe szkodliwe doktrynerstwo". Faktycznie, niebywale szkodliwe dla duchowego życia narodu (i nie tylko duchowego).

L. Włodkowski ma wątpliwości, „czy wiara w Boga może nie przeszkadzać w materialistycznym, dialektycznym widzeniu świata". Ja nie mam wątpliwości i zgadzam się, że wiara w Boga i „materialistyczne, dialektyczne widzenie świata" to „postawy sprzeczne diametralnie różne". Czy ktoś w ogóle może być innego zdania? A w ogóle co to ma do rzeczy? Chodzi o to, że „z drugiej strony wiadomo, że w partii są również ludzie wierzący. I to jest fakt. Czy więc zostawić im te sprawy do wewnętrznego rozstrzygnięcia?" (L. Włodkowski). Nie rozumiem, co mają rozstrzygać? Zrezygnować z partii lub zrezygnować z wyznawanego światopoglądu? Bzdura! Przecież w partii trzy czwarte to ludzie wierzący, a jedna czwarta to nie tylko materialiści, ale również indyferenci. I o co awantura? Przecież partia to organizacja polityczna, a nie światopoglądowa Partia klasy robotniczej to nie Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli. Partia nie może być wrogiem światopoglądu wyznawanego przez większość klasy robotniczej, przywódca 10-milionowej „Solidarności", jest człowiekiem głęboko wierzącym, jego otoczenie również, większość członków „Solidarności" również. Członkami „Solidarności" są również członkowie partii, członkowie Komitetu Centralnego.

Oto parę tez z innych źródeł korespondujących z tezami „Manifestu".

1. „Jesteśmy organizacją otwartą światopoglądowo dla wszystkich...

...nie określamy się ani jako organizacja związkowa „świecka" czy „laicka", bo to w naszej rzeczywistości i na tle niedawnych doświadczeń równoznaczne byłoby z rozumieniem naszego związku jako „antykościelnego" lub „antyreligijnego".

**„Solidarność"**
**(Polityka nr 46 z 15.11.80)**

2. „Socjalizm, który chcemy realizować, nie powinien opowiadać się za żadną z prawd, ze względu na szacunek wobec decyzji człowieka w sprawach wiary, której treści, naszym zdaniem, nie mogą być określane przez partie polityczne i państwo. Humanistyczny socjalizm będzie uznawał rolę religii w tworzeniu systemu etycznego. Na gruncie etyki socjalizm i chrześcijaństwo, jako idee miłości bliźniego, są sobą".

I dalej: „Chemy, aby nasi najlepsi członkowie, wstępując do PZPR, sprawili, że partia będzie umacniała swoją przewodnią siłę w narodzie wypełniając normą konstytucyjną".

**„Student"**
**— „Z Plenum ZG SZSP — Gdańskie credo"**

3. „Kontynuując myślenie o siłach, z którymi łączy nas troska o pomyślne rozwiązanie spraw polskich, umieszczę tu:

—, Kościół jako siłę historyczną w życiu dzisiejszym".

I dalej:

„Wyjść należy z założenia, że zawiązał się dialog dwu uniwersalnych humanizmów: socjalistycznego i chrześcijańskiego. Oba mają wielkie zaplecze filozoficzne i historyczne...

...Jest rzeczą znaną, że to właśnie między innymi pod wpływem katolickiej myśli marksizm z większą uwagą odnosi się dziś do problemu jednostkowego życia, do poszukiwania w nim elementu nieśmiertelności i odwrotnie, katolicyzm pod wpływem marksizmu z większym zrozumieniem podjął problemy grup społecznych. Granice i różnice nie zostały zatarte, ale poszukiwania zostały wzbogacone. Można żywić przekonanie że ta wielonurtowość w polskiej kulturze pomnoży siły budowy socjalistycznego społeczeństwa, w którym funkcjonować będą wielkie wartości humanistyczne".

**Józef Tejma**
przemówienie na zebraniu POP Oddziału ZLP W-wa 3.11.80, opublikowane w „Życiu Warszawy" z dnia 12.11.80.

4. „Dla umocnienia wiarygodności dokonujących się przemian, konieczne jest poszerzenie społecznej bazy rządzenia, która winna objąć wszystkich obywateli stojących na gruncie imperatywów współczesnej polskiej racji stanu. Szczególnie dotyczy to wprowadzenia w życie zapisanej w ideologii PAX zasady, która stwierdza, że światopogląd obywateli, ani w sposób negatywny, ani pozytywny nie może przesądzać o miejscu, jakie zajmują oni w społeczeństwie. Jedynym skutecznym sposobem realizacji tego wymogu jest praktyczne wprowadzenie wieloświatopoglądowości państwa socjalistycznego. Wprowadzenie wieloświatopoglądowości pozwoli uczynić kryteria moralne i zawodowe podstawowymi przesłankami awansu obywatela w życiu publicznym...

Niezbędne jest doprowadzenie do tego, by tak ważny czynnik siły społecznej, moralnej, jaką stanowi katolicyzm polski, uzyskał warunki, w których w pełni będzie mógł wspierać dobro Narodu i Państwa. Będzie to możliwe wtedy, gdy faktycznie istniejąca wieloświatopoglądowość naszego społeczeństwa uzyska swój wyraz w wieloświatopoglądowości socjalistycznego państwa".

Przemówienie sejmowe posła Ryszarda Reiffa (koło PAX). Miesięcznik „Życie i Myśl" str. 53—54.

I takie to są realia życia społecznego i takie są imperatywy współczesnej polskiej racji stanu. Łaskawa tolerancja czy raczej tolerowanie większości przez mniejszość już nie wystarcza. Wieloświatopoglądowość jest faktem w społeczeństwie i faktem w partii. Jeżeli tak, to trudno posłowi Reiffowi zarzucić, że wymaga zbyt wiele, że nie liczy się z realiami; postulując wieloświatopoglądowość państwa.

**HENRYK KURPIŃSKI**

P.S. Współbrzmienie tez nie wymaga komentarza.

*

Uwagi Henryka Kurpińskiego, obficie poparte cytatami, ani mnie nie przekonały, ani nie rozwiały moich wątpliwości. Nie mam zamiaru twierdzić, że społeczeństwo nasze w swej większości nie jest przywiązane do tradycji religijnej i że już choćby z tego powodu występuje u nas wieloświatopoglądowość. Ale to jest jedna sprawa

Inną sprawą jest natomiast światopogląd członków partii. „Statut PZPR" mówi na przykład, że obowiązkiem członka partii jest **„poznawać i zgłębiać zasady marksizmu-leninizmu"**. I dalej: **„W poczet członków parti przyjmuje się w trybie indywidualnym ludzi pracy o poglądach zgodnych z ideami socjalizmu i celami partii"**. Jak praktyka dowodzi w budowaniu socjalizmu mogą aktywnie uczestniczyć ludzie o różnych światopoglądach wszakże budowa ta dokonuje się pod przewodnictwem partii. A ideologia partii oparta jest na materializmie dialektycznym i historycznym. Ten znów jest sprzeczny z wszelkimi odmianami idealizmu.

Tu mogę opowiedzieć anegdotę. Otóż dość dawno temu jeden z moich znajomych profesorów miał wśród studentów dwie zakonnice. Obowiązywały wówczas na uczelni egzaminy z materializmu dialektycznego i historycznego. Zakonnice zdały ten egzamin celująco. Mój znajomy zapytał:

— Jak to jest możliwe, aby ktoś, głęboko wierzący w Boga i poświęcający mu życie, mógł tak dobrze opanować marksizm. Przecież chyba w to nie wierzy?...

— Przeciwnie — odpowiedziała jedna z nich — wierzę, że Bóg stworzył świat zgodnie z prawami dialektyki.

Żartem wszakże niczego się nie załatwi.

A poważnie? Poważnie, to uważam, że jeśli każda organizacja partyjna ma spełniać swoją podstawową rolę: być siłą przewodnią w swoim środowisku, to musi właśnie w oparciu o dialektyczny sposób widzenia świata, o prawa społecznego rozwoju, które musi analizować zgodnie z zasadami materializmu historycznego, w oparciu o takie analizy działać, podejmować decyzje, określać swój stosunek do tego, co się dzieje wokół niej. A tego nie można robić bez znajomości marksizmu-leninizmu. Znajomość marksizmu-leninizmu stosowana w praktyce wyklucza wszelki idealizm. A więc?

W artykule **„W poszukiwaniu skutecznego rad sposobu"**, problem ten postawiłem dyskusyjnie, jako, że autorzy cytowanego „Manifestu komunistów", jak i „Co robić?" sprawę traktują jednoznacznie. Dla nich nie ma żadnych wątpliwości. W partii może być każdy, kto tylko zadeklaruje chęć budowy socjalizmu, kto jest ideowo zaangażowany (ale, w co?), moralnie czysty i będzie przestrzegał zasad statutowych. To ładnie. Pozostaje tylko odpowiedzieć sobie na pytanie: jak pogodzić wiarę w Boga z materializmem dialektycznym? Czy tak, jak owa zakonnica z anegdoty? Czy tak jak to robi dziś wielu członków partii, którzy praktykują po kryjomu? Ale, czy są oni marksistami? Czy można marksizm traktować jako „ideologię służbową", a katolicyzm, jako „ideologię prywatną"?

Ktoś powiedział, że lepiej, aby członkowie partii praktykowali jawnie niż po kryjomu, bo ten drugi sposób demoralizuje, uczy dwulicowości, podważa intencje, gdyż nie wiadomo, czy człowiek stał się członkiem partii z chęci uczestniczenia w budownictwie socjalizmu, czy dla... kariery. Ten ktoś, kto tak postawił sprawę, dodał, że jednak od aktywu, od działaczy, od pracowników aparatu partyjnego trzeba wymagać bezwzględnie materialistycznego światopoglądu. Bo to jest podstawa marksizmu-leninizmu, choć — z drugiej strony — można być materialistą i przeciwnikiem marksizmu. Jak widać sprawy nie są takie proste. Dlatego potrzebna jest dyskusja. I dobrze się stało, że problem ten został podjęty.

Podyskutujemy. Bo ja na przykład jestem głęboko przeciwny wszelkim podziałom w partii, na tych, którzy mają prawo wierzyć i w Boga i marksizm i na tych, którzy takiego prawa nie mają. Mamy w partii wszyscy jednakowe legitymacje i jeden Statut.

W państwie, w społeczeństwie sprawa wygląda zupełnie inaczej I tu zgadzam się z Henrykiem Kurpińskim.

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

# PETYCJA

Dalszy ciąg ze str. 1

barów, bufetów, itp. Jest tylko jedna restauracja „Stylowa", której ajent, słusznie broniąc zysków, nie zamierza zamienić na tańszą, dostępną dla studentów jadłodajnię. Tymczasem w świetle przepisów, niestety tych niepopularnych, na które nie lubimy się powoływać. (art. 5, par. 3, ustawa z 11. XII. 1959 o zwalczaniu alkoholizmu Dziennik Ustaw nr 69 poz. 434) — niedopuszczalne jest funkcjonowanie w pobliżu szkoły restauracji z wyszynkiem. Restauracja jednak funkcjonuje, a studentom szkoda tracić 2,5 godziny w ciągu dnia na zjedzenie obiadu i na drogę do stołówki Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej przy ulicy Gdańskiej, do której ich skierowano. W efekcie stałego niedojadania mnożą się nerwice i choroby przewodu pokarmowego. i wszyscy są po prostu głodni.

Studencka petycja była według mnie oszczędna i wyważona w słowach. Członkowie Komitetu Założycielskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów — **Zbigniew Koszałkowski i Stefan Kotter,** z którymi rozmawiałam jeszcze przed złożeniem petycji, dalecy byli od ekstremalnych żądań. Ostrzejsze akcje interwencyjne, łącznie ze strajkiem, o którym wspomina petycja, uważali za ostateczność. Z zaangażowaniem zabiegając o sprawy kolegów stwierdzali, iż jest to obowiązek Niezależnego Zrzeszenia Studentów. **Petycja ogranicza się do spraw najważniejszych, w dniu dzisiejszym. Autorzy nie wspominają ani słowem o karygodnych wprost warunkach, w których przyszło im się uczyć i pracować, gdyż reprezentacyjny budynek szkoły jest reprezentacyjny jedynie z zewnątrz.** Szkołę oficjalnie oddaną do użytku 19 grudnia 1978 r. przyjęto z 86 usterkami. Wymienię tylko te najważniejsze: niesprawna instalacja ciepłownicza i wentylacyjna. W budynku jest tak zimno, że modele w pracowniach malarskich nie chcą się rozbierać, a nieszczelne i dziurawe okna zatyka się watą, z miernym, jak można się spodziewać, skutkiem. Nieprawidłowa izolacja ścian i fundamentów sprawia, że ściany pękają, zalane wodą stacje trafo grożą wypadkiem, bibliotekę zalewa woda, a pokoje na parterze są zagrzybione.

W dokumentach, które udostępnili mi dyrektor administracyjny szkoły — mgr **Jerzy Milanowski** i zastępca — mgr inż. **Lubomir Czerkawski,** można prześledzić walkę o ratowanie szkoły, w której podstawową bronią są pisma uczelni, zobowiązania przedsiębiorstw budowlanych do usunięcia usterek i odpowiedzi odmowne. Dwa lata trwa np. wymiana korespondencji z ŁPISiE o umieszczenie robót w planie i realizację, która jak się okazuje z ostatnich listów, jest niemożliwa z powodu braku mocy przerobowych.

O tym wszystkim studenci w petycji nie piszą. Zadają sobie jednak pytanie, czy wówczas w 1978 r. należało przyjąć szkołę ze wszystkimi 86 usterkami? Dziś w uczelni twierdzi się, że poprzedni budynek przy ulicy Narutowicza był w tak fatalnym stanie, że każdy inny był lepszy. **Poza tym kulisy naszych inwestycji były takie, iż pod koniec roku odbywały się akcje szantażowe między wykonawcami, a odbiorcami, gdyż w grę wchodziły premie, nagrody itp.**

Trudno jednak pogodzić się z myślą iż skutki owych 86 usterek, nie wspominając o mniejszych, muszą tak długo dawać się użytkownikom we znaki. Czy rzeczywiście nie można im zaradzić? Czy władze miasta będą czekać, aż szkoła stanie się zupełnie nie do użytku?

Nie sposób również nie zadać pytania, czy wcześniej nie można było znaleźć miejsc w łódzkich akademikach dla 27 studentów, o których upominają się autorzy petycji. Sama byłam świadkiem, jak na wielu kolegiach rektorskich rektorzy, z rektorem **Wiesławem Garbolińskim,** który w jednej kadencji pełnił również funkcję przewodniczącego kolegium — molestowali władze miasta o akademiki. Bo choć fundusze na te cele przydziela resort (w tym wypadku Ministerstwo Kultury) od władz miasta zależą limity i moce przerobowe.

Można uważać, że rektor PWSSP dopiął swego, gdyż miasto przeznaczyło na akademiki dla szkół artystycznych dwa mieszkalne domy przy ulicy Piotrkowskiej nie opodal Żwirki, które po adaptacji będą służyć studentom. Budynki są jednak w stanie adaptacji, a 27 osób — bez mieszkań.

Kiedy dwunastego listopada rozmawiałam z rektorem **W. Garbolińskim,** poparł on starania studentów u władz miasta. Podobnie prorektor **Z. Liberski.** Obydwaj dodali również, że budynki przy ulicy Piotrkowskiej, przeznaczone dla trzech szkół artystycznych nie rozwiążą kłopotów szkoły, której przydałby się osobny akademik, z odpowiednimi pracowniami itp. Obydwaj nie ukrywali, że ciasnota w akademikach rzutuje na przyjęcia studentów i to do uczelni, w której jedynym kryterium powinien być talent, a nie miejsce zamieszkania.

W listopadzie br. władze PWSSP podały się do dymisji. Pierwszy to, o ile się nie mylę, przypadek w łódzkich uczelniach, nowy rys w naszej obyczajowości. Nie znam wszystkich powodów tej decyzji i dociekanie ich nie jest zamiarem tego artykułu. Jednym z powodów była, jak powiedział rektor, chęć przyspieszenia procesów demokratyzacji uczelni. Uczelnia po wybraniu kandydatów na rektora czeka obecnie na mianowanie go przez ministra. (Jeśli jednak jednym z licznych powodów podania się do dymisji było również poczucie bezsilności z powodu ponoszonych starań i miernych efektów, jest to dla mnie pełen goryczy gest wzbudzający jednakże szacunek, a nie dowód kapitulacji, jak sugerują niektórzy).

Wróćmy jednak do studenckiej petycji. Szóstego grudnia rozmawiałam na jej temat z wiceprezydentem miasta **Zbigniewem Politem.** Odpowiedź władz miasta brzmi: — **Władze doskonale zdają sobie sprawę z trudności socjalno-bytowych szkół artystycznych. Dlatego też przeznaczyły dla potrzeb tych uczelni domy mieszkalne przy ulicy Piotrkowskiej, zmniejszając jednocześnie ilość mieszkań dla mieszkańców Łodzi. Do czasu zakończenia prac budowlanych 27 studentów może się wprowadzić do świeżo ukończonego hotelu Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego przy ulicy Młynarskiej 42. Przeprowadzono również rozmowy z Wydziałem Handlu o zwiększenie puli żywności dla restauracji „Stylowa", aby umożliwić ajentowi wydawanie posiłków dla studentów. Pod uwagę bierze się także możliwość korzystania ze stołówki zakładów „Feniks".**

**Rozpocznie się energiczną likwidację usterek w budynku, poprawi ogrzewanie szkoły itp.**

Najważniejszy więc kłopot został rozwiązany. 27 osób znajdzie dach nad głową, a w czerwcu uczelnia otrzyma własne miejsca w akademiku przy Piotrkowskiej. Wcale mnie jednak forma rozwiązania tego problemu nie cieszy. Wprost przeciwnie, napawa wyjątkowym sceptycyzmem. Można bowiem przypuszczać, że gdyby nie owa petycja, 27 studentów nadal nie miałoby gdzie mieszkać. Nie wierzę, aby w październiku br. nie znalazło się w całej Łodzi we wszystkich hotelach miejskich, asystenckich, robotniczych, w pokojach gościnnych różnych instytucji 10—12 pokoi dla 27 osób. Nie uwierzę, aby nie można było załatwić tej sprawy „od ręki", że trzeba było aż dramatycznej petycji. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby przewidzieć co będzie się działo, jeśli utrwali się taki sposób rozwiązywania problemów. I dlatego lękałabym się mieszkać w mieście, w którym zwykłe sprawy bylibyśmy zmuszeni rozwiązywać przy pomocy wcale nie zwyczajnych metod.

MAŁGORZATA GOLICKA

*Nic nie wskazuje na to, aby budynek był gotowy na przyjęcie studentów w styczniu przyszłego roku...*
*Foto: R. Łucyszyn*

# SZTUKA MŁODYCH — WOLNA CZY ZNIEWOLONA?

## PLASTYKA

Od połowy lat sześćdziesiątych współczesna plastyka nieustannie rozszerza pole własnej twórczości. Wkroczyła na tereny, jakie dawniej należały do innych dyscyplin: teatru, fotografii, filmu. Tworzywa, którymi się one posługują, wykorzystała dla własnych celów. Komunikat wizualny w plastyce zdąża wciąż do zbadania i wyczerpania wszystkich możliwości kształtowania informacji. Obraz — podstawa tego komunikatu — istnieje nadal, ale został on gruntownie przetworzony. Sztuka obiektu formuje go w oparciu o przedmiot funkcjonujący w przestrzeni: **body art** — sztuka ciała — wykorzystując doświadczenia teatru i rozwijając formy parateatralne. utworzyła zjawisko **performance** (ang. przedstawienie). Performance posługuje się konceptualistycznie pojętą ideą, jaka daje się wyrazić poprzez działanie artysty w przestrzeni, rozgrywanej w sposób podobny jak w teatrze. Idea ta najczęściej wynika z filozofii sztuki lub filozofii człowieka, przyjętych przez autora performance.

**Konceptualizm** końca lat sześćdziesiątych i początków siedemdziesiątych sięgnął jeszcze dalej. Swoim tworzywem uczynił język naturalny i tym samym obalił ostatnią granicę, jaka jeszcze istniała pomiędzy sztuką, a nauką o sztuce jako komunikacie społecznym. **Hiperrealizm** uczynił z fotografii medium pośredniczące w procesie twórczym. Konceptualizm nadał fotografii rangę dokumentu działań artystycznych i zrównał ją w prawach z dziełem sztuki. Twórczość **video** wykorzystała najnowsze zdobycze techniki wizualnej.

Fotografia jako medium i przedmiot sztuki,. psychofizyczna osobowość twórcy jako przedmiot i podmiot performance, językowe operacje konceptualizmu — to nowe zdobycze, nowe tereny plastyki, która zaadoptowała je i włączyła do własnego zasięgu znaczeń.

Współczesny komunikat wizualny plastyki obalił więc jeszcze do tak niedawna istniejące podziały i formalne granice sztuki. Dało to sztuce nieograniczoną wolność wyborów artystycznych i sposobów konstruowania formy w tworzonym obrazie rzeczywistości. Na szczęście, wolność ta nie obróciła się w agresję wobec tradycyjnych wartości plastyki, które wynikają z konsekwencji stosowania tradycyjnego tworzywa i warsztatu artystycznego.

Współcześnie zaistniały jednocześnie obok siebie różnorodne treściowo, formalnie i gatunkowo przekazy, które zdają się zdążać w jednym kierunku. Jest nim dążenie do pełni samoświadomości sztuki i samoświadomości artysty. Dokonuje się to głównie w trakcie poszukiwań psychologicznych i teoriopoznawczych uwarunkowań bytu sztuki. Poszukiwania te nie idą jednak równocześnie w stronę penetracji jej uwarunkowań społecznych.

Doświadczenia sztuki współczesnej uczą, że zawsze zmierzała ona do osiągnięcia najwyższej wolności. Obecnie można twierdzić, że wolność sztuki jest faktem dokonanym, obiektywnie istniejącym. Nie ograniczana ani tworzywem, ani funkcjami, które można byłoby jej narzucać, sztuka znalazła się w paradoksalnej sytuacji, nie zdołała odpowiedzieć sobie na pytanie jaki jest cel i sens jej istnienia? Osiągnęła, użyję tu terminów E. Fromma, „wolność od". Jaki będzie jej sposób realizacji „wolności do"?

Żadna jeszcze zbiorowa wystawa, czy impreza plastyczna zorganizowana w ostatnim dziesięcioleciu polskiej sztuki współczesnej nie unaoczniła tego problemu, dylematu wolności tak silnie, jak ostatnie wydarzenie w Łodzi — **Ogólnopolskie Konfrontacje „Sztuka Młodych".**

Rada programowa i organizatorzy konfrontacji próbowali dokonać wszechstronnego przeglądu najnowszej i najmłodszej plastyki polskiej. Wynikiem prac było trzydniowe sympozjum (24, 25, 26 listopada), które usiłowało ująć zjawiska artystyczne w ramy kanonów krytycznych i teoretycznych, pokazy sztuki efemerycznej (performance, pokazy grupowe), wystąpienia autorskie młodych oraz wystawy prezentujące dokonania młodych w malarstwie, grafice, rzeźbie, tkaninie, plakacie, działaniach przestrzennych. Do udziału w konfrontacjach zaproszono twórców, którzy nie przekroczyli 30 roku życia i ukończyli uczelnię artystyczną nie wcześniej niż 10 lat temu. Odstępstwa od przyjętej zasady zdarzały się sporadycznie i motywowane były udziałem jednostek w zbiorowych działaniach grupy.

Organizatorom i radzie programowej zarzucono w czasie spotkań, że dobór artystów i ich prac na konfrontacje nie jest reprezentatywny dla najmłodszych środowisk twórczych, co zniekształca i upraszcza informacje o aktualnym stanie młodej plastyki. Zwracano uwagę, że nie eksperci — krytycy i nie uznani, „starzy" artyści powinni decydować o udziale młodych w imprezie — a sami młodzi, którzy mieliby głos określający profil i zakres konfrontacji.

Jednakże to, co przyniosły konfrontacje: pokazy, wystąpienia autorskie i wystawy, można uznać za reprezentatywne nie tylko dla sztuki młodych, ale również dla całej plastyki polskiej lat siedemdziesiątych. Młoda sztuka nie odstaje od całości zjawisk artystycznych minionego dziesięciolecia. Jeśli w tym okresie miały miejsce „bunty" artystyczne, to nie u nas. Nasza plastyka, także ta młoda, wchodziła w ramy gotowych już modeli i struktur, trendów i nurtów.

Wtórność ta jest najbardziej czytelna właśnie w twórczości młodych, w której wyraźne są wpływy nie tylko zjawisk obcych, ale i naszych rodzimych artystów, którzy są pedagogami wyższych uczelni artystycznych i wywierają wpływy niekiedy bardzo głębokie na swoich wychowanków.

„Nie ma niczego, czego by jeszcze dotąd nie było" — stwierdziła **Wiesława Wierzchowska,** poważny znawca młodej sztuki, krytyk „Projektu". Stwierdzenie to dokładnie oddaje charakter prawdy, że twórczość młodych jest odbiciem stanu światowej sztuki współczesnej.

Twierdzę, że można ze stanu tego wynieść przekonanie, iż permanentna już „odkrywczość" sztuki zdeprecjonowała samą sztukę tak, że nie jest już ona zdolna tworzyć nowych, społecznie istotnych wartości.

Dlatego też referat **Grzegorza Sztabińskiego** wygłoszony na sympozjum był bardzo ważny. Stawiał problem konieczności zrównania ze sobą w skali znaczenia dwu funkcji sztuki: estetycznej z etyczną. Tylko niekłamana, wysoka moralność artysty, może przywrócić sztuce wartości akceptowane społecznie. Obowiązuje tu jedna droga. Jest nią perfekcyjność tak pod względem artystycznego wyboru, twórczości, jak i pod względem odpowiedzialności etycznej za działanie artysty i jego sztuki.

Teza Sztabińskiego jest wołaniem o autentyzm, samodzielność i najwyższe umiejętności w kształtowaniu artystycznej wizji świata, tworzenia jej na kanwie rygorów warsztatu artystycznego, który jest podstawą funkcji estetycznej sztuki.

Niewiele wśród młodej sztuki jest przykładów takiej postawy i takiej perfekcyjności. Najbliższa im jest grafika (ekspozycja w salonie BWA na Piotrkowskiej); z młodych grafików najbardziej przekonywający jest **Mariusz Łukasik,** choć pozostali również dążą do perfekcji warsztatowej, autentyczności w obrazowaniu relacji pomiędzy własnym przeżywaniem rzeczywistości i budowaniem świata sztuki. Jedynie w grafikach **B. Rosiak** zbyt dużo jest dekoracyjności, co czyni jej artystyczną wypowiedź odbiegającą od problemów współczesności.

Jak bardzo sztuka młodych ulega wpływom zewnętrznych wzorców, widać w malarstwie. Czuje się w nim przez to jałowość intelektualną i etyczną nijakość. Tylko obrazy **Zbigniewa Kosmali i Anny Sołeckiej** zdają się od tego wyzwalać.

Podobna sytuacja istnieje w plakacie (obrazuje ją ekspozycja w Galerii Bałuckiej). Skażona wpływami jest również tkanina; dążenie do przestrzennego funkcjonowania tkaniny ma tu wymiar wręcz absurdalny (Galeria PWSSP). Dyscyplinę warsztatu widać w pracy **Aleksandry Mańczak,** która dzięki temu uzyskuje wyjątkową klarowność formy.

Ogólnopolskie Konfrontacje „Sztuka Młodych" — Łódź '80 spełniły swoje zadanie. Pozwoliły na zestawienie i porównanie wszelkich wypowiedzi sztuki plastycznej, wykorzystywanych przez najmłodszych artystów. Dzieli ich wiele, nie tylko różne przyjęte założenia i poetyki. Wewnętrzne więzi istniejące w artystycznych grupach społecznych — nieformalnych nie utworzyły związków pozagrupowych. W odniesieniu do młodej sztuki lat 70-tych nie ma podstaw. żeby mówić o więzi pokoleniowej — stwierdził **Marceli Baciarelli.**

Poza kontynuacją obecnych wcześniej nurtów i tendencji, sztuka młodych nie niesie niczego więcej.

Taka, jak obecnie, wolność sztuki, może zagrozić jej samej, może ją zamknąć w kręgu autokreacji, zniewolić, popychać dalej w przepaść dzielącą ją już od społeczeństwa.

Proces alienacji sztuki trwa. Młoda sztuka nie zaproponowała sposobów zapobiegania tej społecznej alienacji.

Jest prawdą, że wolność sztuki broni ją przed możliwościami manipulacji politycznych, ale także utrwala jej rozdźwięk z rzeczywistością społeczną.

W wewnętrznych przemianach sztuki za mało jest miejsca na społeczną mimezis. I to jest generalny zarzut, jaki stawiam sztuce współczesnej. Nie tylko tworzonej przez młodych.

MARIA KĘPIŃSKA

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

# MAGIA TEATRU

Postanowił nie ułatwiać dziewczynie jej misji. W milczeniu wpatrywał się w nią, aż poczuła się nieswojo i lekko się zarumieniła. Ma ładną cerę — pomyślał — Cóż dziwnego, nie tknięta szminką! Gdyby tak musiała co wieczór nakładać na twarz grubą warstwę podkładu i to niekoniecznie leichnerowskiego, a na to różne tam blanc d'Espagne, rose vegetable, czy berliner blau, rozprowadzać potem zajęczą łapką puder, w krótkim czasie straciłaby tę świeżość i gładkość różanego płatka. Różany płatek. Jakież to banalne porównanie przyszło mi na myśl!

— Panie dyrektorze — zaczęła dziewczyna — przychodzę w związku z pana jubileuszem.

— Jubileuszem?

— O ile dobrze wiem, mija trzydzieści pięć lat odkąd pan...

— Trzydzieści pięć lat. Rzeczywiście. Ale co to za jubileusz! Gdyby pani przyszła do mnie dajmy na to za piętnaście lat, wówczas moglibyśmy pogadać o jubileuszu Trzydzieści pięć lat w teatrze to wcale nie tak dużo.

— Dla mnie to ogromny szmat czasu — wyrwało się jej szczerze. — A poza tym można przecież spędzić w teatrze pięćdziesiąt lat jałowych prawda? Pańskie trzydzieści pięć jest bardzo gęste.

Inteligentna! To jej określenie „gęste" zabrzmiało celnie.

— Pani Ewo — powiedział — Pani wybaczy, że nie będę mówił: pani redaktor. Jak słyszę w telewizji to wciąż powtarzane *pani redaktor, panie redaktorze*, owo miździenie się przed wszechwładzą dziennikarza, to zbiera mi się na wymioty. Może pani czuje się dotknięta?

— Nie. Wolę, żeby się pan do mnie zwracał po imieniu. To mi pochlebia.

— Świetnie. Więc czego pani ode mnie oczekuje? Curriculum vitae? Mam zacząć ab ovo?

— Właśnie. Jak to się u pana zaczęło? Ta przygoda z teatrem.

— Skreślmy słowo „przygoda", pani Ewo. Wyeksploatowane.

— Bardzo pana przepraszam.

— Mnie pani nie uraziła. Mam tylko wzgląd na pani czytelników. Trzeba im dać pokarm w miarę pożywny i niezbyt odbiegający od rzeczywistości. Ja, proszę pani pracuje w teatrze, a nie przeżywam przygody. Przychodzę kwadrans po dziewiątej rano i najczęściej nie opuszczam teatru do jedenastej wieczór. I tak od lat. Z wyjątkiem dni kiedy mam zajęcia w szkole. Czy to można nazwać przygodą?

— No, dobrze, ale jakoś to się zaczęło.

— Co pani wie o teatrze?

— Jeżeli pan dyrektor chce mnie poddać testowi, to się z góry poddaję. Wiem bardzo niewiele. Moja jedyna nadzieja to, że mi pan dopomoże.

— Szczerze.

— Nie.

— Tak sobie pomyślałem. Nie, nie! Proszę nie uważać tego za dowód lekceważenia. Po prostu zdaję sobie sprawę, że Szekspira czyta się ciężko. A wie pani dlaczego? Napisał o tym kiedyś Herder, że czytelnik Szekspira musi dźwigać w sobie całą scenę. Miał rację. W innym przypadku tekst staje się zbyt gęsty, niestrawny. My ludzie teatru czytamy te teksty w szczególny sposób. Przetykamy w myśli ich słowa naszą wyobraźnią sceniczną. Jak osnowę wątkiem. I z tego rodzi się za każdym razem coś innego, inny materiał, z którego wykroimy przedstawienie. Może pani cofnąć taśmę? Przesłuchamy.

Po odsłuchaniu nie był z siebie zadowolony. Słowa, słowa, słowa... Dziewczynie potrzeba czegoś innego. Trochę mięcha, a nie krystalicznej abstrakcji.

— Nie odpowiedziałem pani na pytanie jak się to u mnie zaczęło. Przed wojną chodziłem do teatru jako uczeń. Znałem go tylko od strony widowni, nigdy nie zdarzyło mi się przekroczyć zaczarowanej linii: kulis. Zapamiętałem przedstawienie schillerowskiej „Intrygi i miłości". Kurtyna podnosiła się przy całkiem wygaszonej scenie, potem stopniowo, używając opornicy, przydawano światła aż do całkowitego rozjaśnienia. Po każdej scenie znów płynnie redukowano światło, doprowadzając do ciemności. Czerń — światło — czerń. I potem cały cykl od nowa. Chwyt techniczny dzisiaj dosyć opatrzony w teatrze, ale wtenczas to było nowe. Ja to odczuwałem w taki sposób: oto świat ułudy scenicznej rodzi się z nicości i w nicość rozpływa. Jakbym zasypiał, wstępując w strefę snu, po czym następowałoby przebudzenie i powrót do rzeczywistości. Ale z tą chwilą na refleksję u jej progu. Wie pani, po przebudzeniu często trwamy jeszcze przez moment w pewnej próżni, zawieszeni między snem i jawą. Ja proszę pani ten punkt graniczny, tę ziemię niczyją cenię sobie do dziś w teatrze najbardziej.

— Czy pan wtedy myślał już o pracy w teatrze?

— Nie. Byłem nim zafascynowany jako widz.

— A kiedy?

— Kiedy? To było chyba w 1942, czy w 1943 dokładnie nie pamiętam. Pani zna obraz okupacji z filmów, z powieści. Obraz na ogół prawdziwy ale zawężony do spraw podstawowych, groźnych bez marginesu na zwykłe, nieheroiczne i niemartyrologiczne problemy młodych ludzi. Jak się ma dwadzieścia lat, to człowiek broni swojej młodości, prawa do rozrywki, śmiechu, miłości, nawet jeżeli okoliczności wszelką po temu ochotę winny zdawałoby się zmrozić. No, więc proszę sobie wyobrazić grupkę inteligenckiej młodzieży, rzuconej w dość prymitywne warunki na poły wiejskie, na poły przemysłowe, bo był to teren przedwojennego COP. Żadnych rozrywek poza prywatkami przy zdartych płytach gramofonowych i przechodzącymi z rąk do rąk książkami zaczytywanymi aż do fizycznego zniszczenia bez wartościowania i prawa wyboru, bo podaż była mała. Kiedyś w Sylwestra w czterdziestym drugim roku ktoś mi pożyczył „Zemstę". Nie mogłem wyjść z domu, bo obowiązywała godzina policyjna, więc zasiadłem nad tym uroczym tekstem fredrowskim. Nie mogłem się od niego oderwać. W sąsiednim pokoiku spała moja matka, a ja czytałem. Kończyłem i zaczynałem od nowa. I tak trzy razy aż zasnąłem nad książką nad ranem. Wielokroć miałem potem w życiu do czynienia z „Zemstą", cztery razy ją reżyserowałem, raz grałem Cześnika, ale z tamtego oczarowania w owej okupacyjnej nocy nic mnie nie jest w stanie obrabować. To wrosło we mnie i zakleszczyło się wokół serca.

— Przepraszam — wtrąciła Zarucka — muszę odwrócić kasetę, bo się taśma skończyła.

— Bardzo dobrze, że mi pani przerwała, bo to brzmi jak opowiastka umoralniająca, a już to zakleszczone serce proszę koniecznie zastąpić innym określeniem. Chcę mówić o czymś bynajmniej nie patetycznym. Chcąc zapewnić sobie jakieś minimum życia intelektualnego, zajęliśmy się najpierw redagowaniem pisemka, wydawanego w jednym egzemplarzu i krążącego z rąk do rąk w gronie co najwyżej trzydziestu osób. Żadna tam polityka! Impreza czysto rozrywkowa, samoobrona przed wyjałowieniem umysłów. Gdy to się nam znudziło, zaproponowałem teatr. Projekt mój podchwycono z entuzjazmem. Mój przyjaciel Marek Nistrzyński — pani pewnie zna to nazwisko, jest dziś dość znanym pisarzem choć siedzi za granicą — otóż Marek napisał tekst sztuki, a raczej scenariusz, bo dialogi były na poły improwizowane. Ja się zająłem reżyserią.

Zamilkł nagle, jakby oddalił się w inny wymiar czasu. Dziewczyna milczała dyskretnie, wyłączywszy magnetofon. Wreszcie odważyła się wytrącić Kostrowińskiego z odrętwienia pytaniem:

— Tematyka tej sztuki?

— Tematyka? Bzdurna. Rodzaj rewietki. Jeden akt rozgrywał się w niebie, gdzie było bardzo nudno, a drugi w piekle, w którym rozbrzmiewała muzyka jazzowa i tańczyły girlsy w krótkich szortach, z obnażonymi nogami.

Maciej przyglądał się Henrietce z daleka, podziwiając jej wspaniałe, rasowe nogi. Twarz miała rozkapryszonego dziecka, ładną, ale niezbyt wyrazistą. Za to figurą żadna z dziewcząt nie mogła się z nią równać. Tańczyła także świetnie, z fenomenalnym wyczuciem rytmu i z pełną świadomością spojrzeń męskich, lepiących się do jej drgających ud łydek i mocno wiązanych kolan. Przed rozpoczęciem przedstawienia przysunął się do niej.

— Henrietto — szepnął, rzucając płochliwe spojrzenia na boki, by sprawdzić czy ktoś ich nie obserwuje — muszę ci coś wyznać.

— Teraz? — prychnęła jak kotka.

— Niekoniecznie. Może być jutro, ale umów się ze mną.

— Przecież widujemy się codziennie.

— Ale to musi być bez świadków.

Wiedziała, że ogarnia go na jej punkcie szaleństwo, ale była na etapie, w którym dziewczyna chce się podobać wszystkim chłopcom, nie jednemu.

— Zajmij się przedstawieniem, reżyserze — odpowiedziała zimno i oparłszy nogę na stołku poczęła najspokojniej ciaśniej wiązać sznurowadło tenisówki. Było w nim wielkie pragnienie dotknięcia tej nogi, ale się nie odważył.

— I to była pana pierwsza reżyseria — rzekła Ewa Zarucka, nachylając się nad magnetofonem, by sprawdzić, czy taśma przesuwa się prawidłowo.

— Pani jest zawiedziona?

— Nie, skądże.

— To brzmi w pani ustach nie przekonywająco. Maciej Kostrowiński debiutował w takiej bzdurze. W dodatku w czasie, gdy wkoło szalała okrutna wojna. Ale ja się tego swojego niemowlęctwa teatralnego nie wstydzę. Właśnie w to zimowe popołudnie w czterdziestym drugim, czy czterdziestym trzecim roku na Rzeszowszczyźnie zrozumiałem pewną istotną prawdę o teatrze.

Ktoś trącił go w ramię. Leszek. Ubrany w białą koszulę do ziemi przyozdobioną anielskimi skrzydłami z tektury byłby po prostu śmieszny, gdyby nie przejęcie malujące się na jego twarzy.

— Maciek, widzisz co się dzieje? — spytał.

— A co takiego?

— Publiczność wali drzwiami i oknami. Przysiółki Taranka i Zalesie w komplecie. Ze czterdzieści osób.

— Co? — Maciej zaniepokoił się nagle. — A kto ich tu prosił? Jeszcze Niemców nam na kark ściągną.

— Nie wyprosisz ich teraz.

— Skąd się oni w ogóle dowiedzieli, że my gramy?

Na to pytanie nie było odpowiedzi. A skąd się dowiedział leśniczy z odległego o 14 kilometrów Szczygłowa? Zjawił się z całą rodziną w trzy pary sań, wszyscy w kożuchach i futrach, odkarmieni, dostatni. Rozsiedli się w pierwszym rzędzie, nie pytając nikogo o zgodę, jakby to było oczywiste, że te miejsca są dla nich. Za nimi przycupnęli skromnie chłopi z Taranki, starzy i młodzi matki z niemowlętami przy piersi i starsze dzieciaki - błyszczącymi oczami wciskające się w każdą wolną szparę, na czworakach, na brzuchu, byle blisko tajemniczej kurtyny, kryjącej przestrzeń, na której zaraz miały się dziać dziwne rzeczy. Zaproszeni na przedstawienie goście, ci którzy znaleźli się tu „legalnie", stanowili na tym tle nieliczną grupkę.

— Nie zamierzam zaczynać przedstawienia w takich warunkach — żachnął się Maciej, przyjrzawszy się widowni przez szparę w kurtynie. — Mówię wam, że ściągną nam żandarmerię albo nawet gestapo z Tarnobrzegu.

Ale słowa te wypowiadał bez wewnętrznego przekonania. Wiedział, że tu już nic się nie da odrobić. Co się złego miało stać, to się stało. Prywatna zabawa grupki młodzieży rozrosła się nagle, spotężniała, wymknęła spod wszelkiej kontroli inicjatorów. Pozostawało im tylko jedno: zacząć grać. Dać się ponieść temu imperatywowi, który wypisany był na twarzach widzów. Ludzie czekali, nie można było ich zawieść.

— Ta prawda, pani Ewo, brzmi prosto: teatr bywa ludziom potrzebny jak chleb — powiedział z naciskiem, pochylając się nad mikrofonem wmontowanym w korpus magnetofonu. — Proszę zwrócić uwagę, nie mówię, że teatr jest ludziom potrzebny do życia, ale że bywa potrzebny. Zależy to od okoliczności i od samego teatru, to znaczy od tego, jaki on jest, na ile trafia w potrzebę chwili. W ciągu całej zawodowej praktyki teatralnej nie miałem w tym stopniu przekonania, że uczestniczę w tworzeniu teatru potrzebnego, jak właśnie wtedy. Ale wciąż jeszcze nie tracę nadziei, że to się powtórzy.

Scena skonstruowana z zestawionych i zespolonych kablem stołów biurowych tonęła w karminowym blasku pochodzącym z czerwonego celofanu, jakim obciągnięte były oświetlające ją lampy. Na pierwszym planie cztery gołonogie dziewczyny podrygiwały w rytm czegoś w rodzaju kankana przy akompaniamencie fortepianu i gitary. Wśród widzów panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć cmokania, jakie wydawał osesek, którego matka karmiła obfitą, białą piersią, nie usiłując jej zasłonić, zapatrzona w scenę. Ci ludzie zapomnieli o gniotącym ich na co dzień ciężarze wojny, rozprostowali się jakby wewnętrznie, przypomnieli sobie o swej godności.

— Magia teatru — powiedział Kostrowiński. — Może to określenie nieco nadużywane, ale jak mi się wtedy sprawdziło! Większość tych ludzi nie była w stanie pojąć niuansów żartobliwej fabuły zrodzonej z młodzieńczego libertynizmu. Byli po prostu oczarowani samą konwencją teatru w naszym amatorskim, nieidolnym wydaniu. Byłbym zapomniał! Proboszcz też przybył na przedstawienie i wcale się nie pogniewał o nasze kpinki z aniołów i diabłów. Śmiał się tylko i groził nam palcem. Żandarmerii niemieckiej nikt nie doniósł. Proszono nas ze wszystkich stron, żebyśmy powtórzyli przedstawienie, albo wystawili coś innego, ale nie chcieliśmy ryzykować. Wiedzieliśmy już, że z teatrem nie ma żartów...

---

Fragment powieści „Wołanie z pustej przestrzeni", przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Łódzkim.

---

RAFAŁ ORLEWSKI

## Barbórka 1980

Odpłynęliśmy od ziemi
już niespokojnej
nieufnej

Próbowaliśmy wracać
czekając pomyślnych wiatrów
sami coraz bardziej
osowiali
nieufni

Patrzyliśmy na siebie
spode łba
wzajem się przegradzając
kryształkami lodu
w dusznym powietrzu

I zadął w butwiejące żagle
wiatr od morza
uśmiechnęło się przez chmury
zmarszczone słońce

Przybyliśmy jeszcze raz
żeby się w ciebie wgryzać
ziemio
po zamierzchłe ciepło prawdy
zachowanej
w bryłach węgla

## Widma

A przecież mówiłem, że: język miodowy,
że się napuszają pióra — nie do lotu,
że coraz to dalej złamane podkowy
i że wóz się toczy po brukach bełkotu.

A przecież szeptałem — bo krzyk już nie znaczył —
że serce to jednak czucie, a nie pompa,
że się róży w asfalt nie da przeinaczyć,
choćby stopy mogły obok kolców stąpać.

Prawem pieśni chciałem wrócić w ciepło chaty
zatrzymać szalony zjazd na cudzych nartach,
uchwycić powietrze na polach garbatych
gdzie się przypomina sosna w pół rozdarta.

Pouczano: nie krzycz. — Kpiono z prawa pieśni
Porównano szept mój do głosu Judasza.
Poza mną dwa widma — świątyni i rzeźni.
Przede mną — do obu nikt już nie zaprasza.

*JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC „Z mojej bajki" — akwaforta*

## TELEWIZJA

# TRUDNE DROGI PRAWDY

Autor „Smoka", Jewgienij Szwarc (1896—1958), rozpoczął swą twórczość pisarską od sztuk dla dzieci. Później zaczął pisać dla dorosłych, pozostając jednak wierny konwencji baśniowej. Tak powstały utrzymane na motywach andersenowskich dwie bajki dla dorosłych „Nagi król" i „Cień" (tę ostatnią w transkrypcji Wojciecha Młynarskiego i reżyserii Kazimierza Dejmka pamiętamy jeszcze dobrze ze sceny Teatru Nowego) oraz zaprezentowany nam obecnie przez telewizję „Smok".

„Smok" napisany został przez Szwarca w 1942 roku, ale na swoją światową prapremierę czekał blisko dwadzieścia lat. Przyjemnie skonstatować, że odbyła się ona w Polsce, w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie w 1961 roku, w reżyserii Jerzego Krasowskiego i scenografii Mariana Garlickiego.

Już to nowohuckie przedstawienie odarło „Smoka" z tradycyjnie baśniowej scenerii, nie podkreśliło jednak aktualności treści, jakie w sztuce wypowiada Szwarc. Wprowadzone do spektaklu mundury, będące czytelną aluzją do hitlerowskich, odsyłały całą historię w przeszłość, nie tak dawną wprawdzie, ale w przeszłość. Ten unik pozwalał udawać, że „Smok" nie ma odniesień do współczesności.

Potrzeba było chyba sierpniowo-wrześniowych wydarzeń i atmosfery odnowy w naszym kraju, by mogła powstać inscenizacja „Smoka" stwierdzająca bez osłonek i bez obłudy: TO SZTUKA O NAS! Nie jest baśnią, nie dotyczy zjawisk historycznie zamkniętych, ale takich, które zagrażają ludziom po dzień dzisiejszy, zawsze i wszędzie tam, gdzie usiłuje się uciszyć prawdę.

Zdawałoby się, że prawda powinna stanowić regułę w stosunkach między ludźmi. Iluż nieporozumień, błędów, nawet nieszczęść uniknęlibyśmy, gdyby słowa, jakie wypowiadamy zgodne były z rzeczywistością! A tymczasem tyle wysiłku wkładamy w to, by zdezorientować, wprowadzić w błąd, czy oszukać naszych bliźnich. Ci z kolei odpłacają nam się tą samą monetą. Dochodzi do tego, że w najbłahszych nawet sprawach, przy wymianie najdrobniejszych informacji, jesteśmy pełni napięcia, by nas ktoś, jak to się dziś obrazowo mówi, nie wpędził w maliny.

Ten groźny obraz w stosunkach indywidualnych nabiera szczególnej ostrości przeniesiony na stosunki społeczne, kiedy władza państwowa, której obowiązkiem jest informowanie obywateli o rzeczywistej sytuacji, świadomie przemilcza wiele spraw, lub wręcz przekazuje przy pomocy dostępnych sobie środków przekazu wiadomości bałamutne, upiększone, lub całkiem nieprawdziwe.

Atmosfera kłamstwa i nieszczerości jest oczywiście szkodliwa. Gorzej jeszcze, gdy społeczeństwo akceptuje fakt, że jest okłamywane. Taki właśnie układ społeczny, w którym wypowiedzi władzy oparte są na kłamstwie, na co ogół obywateli godzi się, kierując się częściowo strachem, a częściowo oportunizmem, przedstawia nam Szwarc w „Smoku".

Aby pokonać okrutnego smoka, a potem bardziej jeszcze perfidnego jego następcę, potrzeba przybysza z zewnątrz. Jest nim u Szwarca Lancelot, potomek legendarnego rycerza Okrągłego Stołu, a w równym stopniu św. Jerzego. To on utnie najpierw trzy łby krwiożerczej bestii, a po latach powróci, by stwierdzić, że mieszkańcy ocalonego grodu nie wykorzystali szansy i w miejsce dawnego stworzyli nowy system oparty na kłamstwie i okrucieństwie. Tym razem Lancelot nie odejdzie, pozostanie na miejscu, by nie pozwolić odrodzić się złu.

Postać Lancelota ma charakter metaforyczny. Społeczność ludzka, pragnąca uzdrowić warunki życia, nie może liczyć na pomoc z zewnątrz, na pojawienie się błędnych rycerzy. Siłę do pokonania smoka znaleźć musi sama w sobie i doprowadzić walkę do zwycięskiego końca.

Nie trzeba szczególnej bystrości, by spostrzec, że „Smok" wystawiony w naszym kraju właśnie teraz, gdy wstąpiliśmy na drogę odnowy i walki o odrodzenie moralne naszego narodu, nabiera szczególnie aktualnych treści. Wiemy dobrze z doświadczeń ubiegłych dziesięcioleci, ile strat ponieśliśmy w wyniku godzenia się z jaskrawym rozdziewem między słowami i faktami społecznymi. Wiemy, ile przedwczesnych nadziei prowadziło do pogłębiania się kryzysu na linii władza państwowa — obywatel.

Tak, droga, jaką toruje sobie prawda w naszym życiu, jest kręta i wyboista! Pocieszającym jednak faktem może być nasza rosnąca świadomość i coraz powszechniejszy akces do ruchu społecznego, który przyszłość kraju budować pragnie w atmosferze prawdy.

Reżyser widowiska telewizyjnego, Maciej Wojtyszko, absolwent łódzkiej Szkoły Filmowej, zrobił wszystko, by metaforę „Smoka" odczytać można było jak najdosłowniej, by przystosować spektakl do temperatury ideowej, jaka zapanowała w naszym kraju. Elementy baśni zostały niemal całkowicie wyeliminowane. I chyba słusznie!

To tyle. Może jeszcze tylko słowa uznania dla Władysława Kowalskiego za rolę Burmistrza.

**WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

## BALET

# TRZY GŁOSY

„Trzy głosy" — taki tytuł nosi najnowszy spektakl baletowy, którego premiera odbyła się w pierwszą grudniową sobotę na scenie Teatru Wielkiego. Tytuł ten ma podwójne znaczenie. Z jednej strony jest on po prostu informacją o wewnętrznej konstrukcji przedstawienia, które składa się z trzech różnych części będących wypowiedziami artystycznymi debiutujących w trudnej sztuce choreografii wybitnych tancerzy naszego teatru, z drugiej zaś — jest potrójnym, choć zespolonym w całość, głosem Teatru Wielkiego w dyskusji o stanie polskiej choreografii.

Twierdzenia o niedostatku liczebnym naszych kadr choreograficznych i braku nowych sił, które mogłyby wesprzeć, odmłodzić i ożywić ich w istocie szczupłe szeregi, pojawiają się tu i ówdzie z coraz większą siłą. Powszechnym zaś ubolewaniom nad niewielką liczbą młodych choreografów sceny muzyczne jedynie potakują, szukając usprawiedliwienia dla braku własnych w tej kwestii inicjatyw, o które niejednokrotnie już prosiła zarówno krytyka, jak i wcale niemała kadra tancerzy gotowych i chętnych do podjęcia twórczego ryzyka. Czy to brak artystycznej odwagi, czy też stopień owego ryzyka zbyt dużej bywały miary — dość, że wołania te pozostawały bez echa, a owi ambitni tancerze — bez możliwości realizacji swych ambicji i sprawdzenia swych sił w odmiennej, choć przecież tak bliskiej im dziedzinie. Warto więc powiedzieć, że głos, jaki w tej dyskusji i wokół jej zasadniczego problemu zabrał nasz Teatr Wielki, już choćby przez to jest głosem konstruktywnym, że wskazuje dobitnie na owe tkwiące w pierwszych szeregach naszych kadr baletowych ich własne możliwości nie tylko wykonawcze, odtwórcze, ale i w najczystszym znaczeniu twórcze i wręcz zaskakujące pełnią i dojrzałością artystycznej koncepcji oraz odwagą w poszukiwaniu nowych form wyrazu głęboko przemyślanych treści. Ryzyko jest podstawą eksperymentu, a autentyczny zapał i zespolenie wszystkich sił — zasadniczą gwarancją jego powodzenia. Z tych prawd zdali sobie sprawę dyrekcja i zespół baletowy Teatru Wielkiego, wychodząc naprzeciw, czy też raczej w dążeniach swych spotykając się w połowie drogi z twórczymi inicjatywami tancerzy: **Kazimierza Wrzoska, Dobrosławy Gutek i Ewy Wycichowskiej.** Z zespolenia wszystkich sił powstał spektakl frapujący zarówno swą trójdzielną konstrukcją, jak i spajającą trzy części w jednorodną myślowo całość klamrą: spektakl z jednej strony dojrzały ową głębią artystycznego myślenia, z drugiej świeży nie tylko młodzieńczym duchem swoich twórców, ale także wieloma nowymi rozwiązaniami formalnymi i technicznymi. Rzecz od samego początku wydaje się być przez młodych choreografów głęboko przemyślana. Ich wspólna myśl, która zrodziła ten spektakl jest nad wyraz klarowna (i szlachetna), a ta klarowność pozwala stwierdzić jej konsekwentną realizację. Pora jednak po tych kilku niezbędnych czytelnikowi wyjaśnieniach przejść do bardziej szczegółowej analizy owych „Trzech głosów".

Pierwszym głosem jest **Kazimierza Wrzoska** układ choreograficzny do **Mieczysława Karłowicza symfonii „Odrodzenie"**, wzbogaconej w warstwie brzmieniowej i znaczeniowej wierszami **Kazimierza Tetmajera** (Gra słów, Dla rytmu, Narodziny Afrodyty). Drugi głos to choreograficzna wypowiedź **Dobrosławy Gutek** do tekstu **Czesława Miłosza „Esse"**. Trzecim jest głos **Ewy Wycichowskiej**, która stworzonym przez siebie układem choreograficznym podjęła dyskusję z wykreowanym przez **Rafała Wojaczka** obrazem i głosem kobiety z jego cyklu wierszy opatrzonych takim właśnie tytułem — „Głos kobiecy (z nieznanej poetki"). Ewa Wycichowska skonstruowała swą wypowiedź na bazie nie bez znaczenia zapewne tak samo zatytułowanej, ciekawej kompozycji muzycznej **Krzysztofa Knittla.** Co więc już na pierwszy rzut oka zwraca uwagę w tej trójdzielnej konstrukcji widowiska, to fakt, że każda z jego części, bądź wspiera się poezją (lub prozą poetycką — Miłosz), bądź też rodzi się z jej słowa i ducha. Ten jednoczący trzy poszczególne części element przedstawienia ma w nim ogromne i różnorodne znaczenie i funkcje.

Udział poezji w tym spektaklu to zarówno jej towarzyszenie muzyce: w choreograficznym głosie Kazimierza Wrzoska semantycznie ukierunkowuje ona dźwięki symfonii Karłowicza, jak i pełne przejęcie jej funkcji (propozycja inscenizacyjna Dobrosławy Gutek zrodziła się z udowodnionego w spektaklu założenia, że słowo poetyckie może być dźwiękiem, że muzyką może być zamknięta w słowie myśl poety), jak i inspirowanie refleksji artysty-choreografa, który swoje myśli i przekonania na poruszony przez poezję temat przekazuje językiem tańca (taką funkcję i rolę odegrały dla Ewy Wycichowskiej wiersze Rafała Wojaczka). Poszczególne układy choreograficzne są wyrazem stosunku ich twórców do tych konkretnych utworów poetyckich.

Kazimierz Wrzosek nie przeciwstawiając się ilustracyjnemu charakterowi Symfonii e-moll Mieczysława Karłowicza (symfonia nosząca tytuł „Odrodzenie" jest klasyczną wręcz kompozycją programową, posiadającą swój własny rys fabularny) połączył ją dla pełniejszego przekazania swojej identycznej z przesłaniem kompozytora myśli z poezją Kazimierza Tetmajera. Połączeniem tym zwrócił naszą uwagę na kryjące się w muzyce Karłowicza całe pokłady głębokiego liryzmu, na głębokie przekonanie kompozytora o sensie walki i pewności zwycięstwa dobra nad złem, o moralnej sile człowieka, któremu siła ta pozwoli nie tylko wyjść czystym z zaklętych kręgów zła, ale także emanując, pozyska dla prawdy i dobra innych ludzi. Myśl kompozytora i poety oraz sposób jaki dla ich przekazania nakreślił choreograf znakomicie zrealizowali tancerze: **Ewa Owczarek** i **Krzysztof Pastor** oraz **Krzysztof Kulik, Urszula Brogowska, Ewa Hoppe, Leandra Jasińska, Maria Wójcicka, Ryszard Kościołek, Zbigniew Sobis** i **Zdzisław Zieliński.** Wykorzystując elementy techniki klasycznej zespół ten stworzył widowisko na wskroś współczesne i żywo przemawiające do współczesnego widza. **Kazimierz Wrzosek,** debiutujący tym spektaklem jako choreograf przedstawił nam rozwiązanie szlachetne i czyste w rysunku. I ta właśnie czystość jest dla mnie największą zaletą stworzonego przezeń układu choreograficznego.

Z ciekawego zamysłu zrodził się układ **Dobrosławy Gutek.** Inscenizatorka postanowiła przekonać nas, że muzyką może być słowo. Zamiar ten powiódł się całkowicie, a wynik eksperymentu okazał się nad wyraz ciekawy. W układzie choreograficznym do tekstu Czesława Miłosza „Esse", słowo wybitnego poety jest najczystszą muzyką, którą Dobrosława Gutek zilustrowała choreograficznie. Muzyczności temu prostemu, ale szczególnie pięknemu tekstowi przydała znakomita wręcz interpretacja **Janusza Peszka.** W interpretacji tej wiersz rodził się powoli, jakby w bólu, jakby na całą wieczność rodziła się myśl o człowieku, któremu wieczność w postaci pięknej dziewczyny dane było zobaczyć tylko raz, przez moment i tylko po to, by człowiek ów zmuszony był powiedzieć „...zostałem z ogromem rzeczy istniejących...". Jeśli o tej interpretacji, płynącej z ust aktora przez nagraną taśmę piszę tak wiele, to czynię to dlatego, by przekonać czytelników, że układ choreograficzny Dobrosławy Gutek jest naprawdę kompozycją do muzyki słowa zrodzonego w myśli niezwykłego poety, że to właśnie wydaje się być najciekawszą z racji swego nowatorskiego pomysłu wypowiedzią choreograficzną wieczoru debiutów. Jeśli jednak w określeniu tej propozycji mianem najciekawszej pozwolę sobie na pewną jednak powściągliwość, to tylko dlatego, że w układzie tańca tak spontanicznie wywołanego poezją, ale przecież twórczo organizowanego przez choreografkę, zabrakło mi ciekawszych rozwiązań technicznych. I taniec ów pozwolił się przytłoczyć muzyce słów. Ale też słowo wyszło spod pióra mistrza jakich mało, a choreografka debiutowała niezwykłej sile dzielnie stawiając czoła i tańcem starała się zobrazować urodę i muzyczność dźwięcznego słowa, które okazało się mieć więcej barw. Zwrócenie nam uwagi na ich mnogość — niemała to zasługa.

**Ewa Wycichowska** nie ilustruje wierszy Rafała Wojaczka — raczej polemizuje wielkim głosem z tego poety poglądami o kobiecie. Rafał Wojaczek powołał w swych wierszach do życia kobietę słabą i jakby lubującą się w swojej słabości. Taka jemu, mężczyźnie, wydawała się być każda z piękniejszej części ludzkiego rodzaju: dająca wszystko za cień miłości, widząca miłość już w jej największym rozumieniu, całą siebie składającą w ofierze, ofiarująca wszystko za niewiele... Ewa Wycichowska przeciwstawiła się temu przekonaniu i do znakomitej bardzo „męskiej", rytmicznej, mocnej muzyki Krzysztofa Knittla stworzyła choreograficzny bardzo kobiecy portret kobiety słabością silnej, niemocą mocnej, nie poświęcającej niczego, a pokonującej wszystko w imię swojej wielkiej miłości, kobiety, która nawet przeciw swemu mężczyźnie broni ich wspólnej miłości przed całym światem chcącym tę miłość i tego mężczyznę potępić. Wspaniały to zaprawdę obraz, wspaniałymi nakreślony środkami. W wyrażeniu tej myśli mają swój olbrzymi udział wykonawcy „Głosu kobiecego": **Anna Fronczek, Małgorzata Śladysz, Tomasz Łukaszyński** i przede wszystkim **Liliana Kowalska.**

Wieczór debiutów choreograficznych w TV pozwala wierzyć w jasną przyszłość naszej choreografii. Miłośnikom baletu polecam go bardzo serdecznie.

**EWA PANKIEWICZ**

## POEZJA

# RZECZYWISTOŚĆ W POEZJI

Poezja polska zgodnie z najlepszymi tradycjami podejmowała zawsze z pełnym zaangażowaniem najtrudniejsze problemy rzeczywistości. Tak było w przeszłości, tak jest i obecnie. Choć efekty bywały różne, że przypomnę choćby tzw. „nową falę". Szkoda jedynie, że krytyka literacka penetrując poetyckie terytoria ostatnimi laty zajmowała się głównie problemami formy, środków wyrazu, niż stosunkiem tworzywa poetyckiego do rzeczywistości, jakby poezja zajmowała się tylko problemami języka i formy. A przecież nigdzie, jak w poezji rzeczywistość przeglądała się najbardziej prawdziwie. Znamienny był jej zwrot ku autentyzmowi w ostatnich latach i ku moralistyce, jako odpowiedź na nasze codzienne zakłamanie. Poezja podejmowała problemy metafizyczne, przebijała się ku prawdzie o życiu, o rzeczywistości, a kwitowano to rozważaniami na temat formy. Było to wygodne, nie wymagało od krytyka odwagi, a może było i wyrazem bojaźni przed przymknięciem tego strumienia świadomości społecznej? Trudno tu dać jednoznaczną odpowiedź.

Jedną z książek, które potwierdzają powyższe jest „Najprostszy wymiar". Książka ta co prawda ukazała się na rynku księgarskim niedawno, lecz złożyły się na nią wiersze, które powstawały na przestrzeni ostatniego pięciolecia.

Bogdan Pasternak jest poetą romantycznym. Manifestuje on to nie tylko poprzez russowski stosunek do natury, czy bunt antycywilizacyjny, lecz także poprzez bunt przeciw wszelakim zwyrodnieniom rzeczywistości. Autor opowiada się po stronie prawdy przeciw sofizmatom relatywizmu. Prostota tych wierszy niekiedy poraża, jest świadectwem obrony człowieczeństwa przed zwyrodnieniami cywilizacji. Lecz jest w jego poezji także dystansowanie się od uproszczeń, jest ironia i bunt przeciw wszelkim formom zakłamania przeciw samookłamywaniu się w myśl nakazów rzeczywistości.

Warto chyba przypomnieć, że autor na co dzień zajmuje się dziennikarstwem. Przypomnienia tego dokonuję nie bez kozery, bo któż jeśli nie dziennikarz zna najciemniejsze strony świata? Być może poezja stanowiła dla niego ocalenie, gdy inne formy opisania rzeczywistości okazywały się być niemożliwe.

Myślę, że znamienny zwrot Bogdana Pasternaka ku autentyzmowi dokonał się właśnie w tym ostatnim tomie. Być może jest to kwestia dojrzałości. W poprzednich tomach, w „Wiklinowych słowach", „Klatce", czy „Powrotach" autor zdawał się eksperymentować, poszukiwać nowych środków wyrazu. Choć i w tamtych tomach pozostawał wierny ziemi, miejscu swego narodzenia. Ale znalazło to szczególny wyraz właśnie w ostatniej książce. „Najprostszy wymiar" to książka dojrzała, gorzko dojrzała. Tu autor poprzez prostotę, czy może pozorną prostotę ukazał pełnię swych związków z rodzimym krajobrazem także w wymiarze metafizycznym. W tych zwartych wierszach, skondensowanych — najpiękniej przegląda się Kielecczyzna. Nie znajdujemy tu prób estetyzowania, czy epatowania czytelnika urokami trochę egzotycznej natury. Fascynuje go przyroda otoczenia, miejsca urodzenia. Ale nie są to opisy dla opisów, funkcjonują one w tych wierszach jako element walki o potwierdzenie tożsamości człowieka, o jego godność. Wiersze te, dynamizowane asocjacją obrazów i pojęć, mają także duże walory dramaturgiczne. Owo tak charakterystyczne dla poezji Bogdana Pasternaka „poetyckie dzianie się" podporządkowane jest ukazywaniu wnętrza zbuntowanego przeciw zwyrodnieniom współczesności bohatera lirycznego. A bywa to niekiedy bunt ekstremalny.

Warto chyba zwrócić uwagę na inny rys charakterystyczny tej poezji na erotykę. Są to także erotyki gorzkie, pisane jakby w myśl maksymy zawartej w jednym z wierszy, w którym poeta wyznaje, że „Z bólu może się prawda narodzić...". Także i w owych erotykach gorzkich i demaskatorskich zarazem autor poszukuje prawdy, prawdy uczuć, konfrontuje marzenia z rzeczywistością. Ale i z tych gorzkich wierszy tchnie nadzieja.

Fascynuje w tej poezji jeszcze jedno — mianowicie wyraźnie znaczony chłopski rodowód bohatera lirycznego. Jest to chyba jeszcze jeden z sygnałów zwrotu poezji Bogdana Pasternaka w stronę autentyzmu. Poprzez chłopskość tej poezji, ukazanie związków z ziemią, tradycją narodową zbliża się on do idei czernikowskich, których jest niepoślednim kontynuatorem.

Myślę, że na specjalne wyróżnienie zasługują w tym tomie prozy poetyckie. Autor prezentuje w nich w sposób charakterystyczny dla tego gatunku problemy egzystencjalne. Osiąga to jednak nie przez dyskurs, lecz dzięki umiejętnemu operowaniu obrazami poetyckimi składającymi się na wizję.

**JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI**

**Bogdan Pasternak, „Najprostszy wymiar", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, str. 68, cena 20 zł.**

## TEATR

*Teatr Nowy. Stefan Otwinowski „Szansa", Krystyna Nagajówna i Krzysztof Kaczmarek*

## TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

# SPÓR WOKÓŁ BUCZKOWSKIEGO

I

Twórczość Leopolda Buczkowskiego jest tak oryginalna, tak odmienna od tego, do czego przywykliśmy, iż powiadając o niej Henryk Bereza zawahał się użyć terminu *powieść*, konsekwentnie nazywając utwory Buczkowskiego *literackimi tworami językowymi*. Cechuje je bowiem polifoniczność określona przez samego autora w sposób następujący: *od dziecka urzeczony byłem muzyką słowa, ale nigdy by tego nie było, gdyby nie ta nasza galicyjskość: tam powstał prawdziwy melanż językowy polsko-rusiński, przy żydowskiej okrasie* Przemieszanie języków i przemieszanie kultur towarzyszy całemu dorobkowi Leopolda Buczkowskiego.

Urodził się 15 listopada 1905 roku w Nakwaszy na Podolu w rodzinie — co nie bez znaczenia dla artystycznych zainteresowań — stolarza snycerza. Po zdaniu matury w Brodach wędrował Buczkowski po Polsce próbując różnych studiów i zajęć (między innymi polonistyka na Uniwersytecie Jagiellońskim, terminowanie u Juliana Fałata, studia na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, pobyt w Poznaniu i współpraca z *Kurierem Poznańskim*). Interesował się też podolskim folklorem, działał w Towarzystwie Szkoły Ludowej, uczestniczył w pracach teatrów amatorskich. Podczas drugiej wojny światowej brał udział w kampanii wrześniowej, potem należał do partyzanckiego ugrupowania, walczył też w powstaniu warszawskim, kilkakrotnie uciekał z niemieckiej niewoli. Po wyzwoleniu, po krótkim pobycie w Krakowie, osiadł w Konstancinie koło Warszawy.

Na literacki dorobek Leopolda Buczkowskiego składają się następujące pozycje książkowe: *Wertepy* (1947), *Czarny potok* (1954), *Dorycki krużganek* (1957), *Młody poeta w zamku* (1959), *Pierwsza świetność* (1966), *Uroda na czasie* (1970), *Kąpiele w Lucca* (1974), *Oficer na nieszporach* (1975) oraz *Kamień w pieluszkach* (1978).

II

Jakkolwiek bezpośrednim impulsem do napisania tego szkicu stała się siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin pisarza, to przecież trudno mówić o twórczości jego w sposób jubileuszowy. Wynika to ze specyfiki tego pisarstwa, z odrębnej pozycji Buczkowskiego we współczesnej prozie polskiej, jak również z kontrowersyjności przyjęcia jego dzieła. Najogólniej mówiąc jest to proza n o w a t o r s k a, o czym decydują przede wszystkim cechy stylistyczne i kompozycyjne. Leopold Buczkowski rozbija krępujący prozę fabularną ład, rezygnuje z uporządkowanego następstwa zdarzeń, to co pisze, czytelnik odbiera jako nie kontrolowany przez narratora chaos, możliwie wiernie oddający chaotyczność świata. W swej konsekwencji pisarz posuwa się tak daleko, iż chyba tylko niewielka grupa wyspecjalizowanych czytelników w pełni potrafi odczuć smak owej prozy. Nic więc dziwnego, że niemal od początku literackiej drogi Buczkowski odczuwa wyraźną samotność, z której czynił kiedyś nawet coś w rodzaju artystycznego credo: — *Bronię swego jako samotny* — oświadczył dwadzieścia lat temu. Początki istotnie nie były łatwe. *Wertepy* napisane w roku 1937 mogły ukazać się dopiero dziesięć lat później, zaś z *Czarnym potokiem* przez wiele lat wędrował autor po wydawnictwach nim słowo stało się książkowym ciałem. Miał Buczkowski swoje kłopoty z edytorami, miał je również (a nawet ma po dziś dzień) z krytyką literacką. Czyniono mu tedy zarzut *aintelektualizmu*, wynikającego z braku nadrzędnej myśli konstruującej utwór literacki, uznano, iż jego powieści nie są niczym innym niż tylko celową reprodukcją bezładu i anarchii rzeczywistości, atakowano tak zwany minimalizm poznawczy, wytykano wreszcie nieobecność społecznych i politycznych diagnoz. Lecz i afirmatorów nie brakło, nie wahających się przed stwierdzeniem, że Leopold Buczkowski to najwybitniejszy współczesny prozaik polski (vide *Kultura* nr 46). Można więc rzec, że we współczesnej naszej literaturze toczy się od dawna

s p ó r o samotnego pisarza, o mistrza bez uczniów, o model twórczości pełnej ryzyka i wiernej raz przyjętym zasadom, o model twórczości zrywającej z rozpowszechnionymi konwencjami, hołdującej sprzecznościom, paradoksom, antynomiom. Toczy się spór wokół Buczkowskiego.

Sam twórca trzyma się z dala od oficjalnego życia literackiego. Pozostaje jakby na uboczu. Przemawiają zań jego książki — tak być powinno. Ale przecież i on powie coś czasem bezpośrednio od siebie. Zwłaszcza ostatnio, bo od kilku lat zauważyć można dość swoistą modę na Buczkowskiego. Piszę: swoistą, bo o Leopoldzie Buczkowskim coraz głośniej, coraz więcej, ale brak na przykład do tej pory rzetelnej monografii jego twórczości. Wynika to może stąd, że — jak to sformułował Jerzy Pluta — o Leopoldzie Buczkowskim nie da się mówić letnio. Oddajmy zatem na chwilę głos samemu autorowi:

*Wielka twórczość jest nieustanną walką przeciw śmierci o własną godność i wielkość (...). W człowieku są trzy impulsy, wartości, instynkty: 1. istnienie biologiczne, 2. wola instrumentalna (instrumentem może być wiedza i talent) oraz 3. wola tworzycielska. W świecie, który jest tajemnicą.*

*Przekleństwa rodu ludzkiego — okrutny fatalizm niedoskonałości, paradoksy między kulturą a biologią. Oto moje stałe niepokoje filozoficzne. Uniwersalny problem diabła w człowieku. To mnie gnębi od lat (...) Ten diabeł ludzki szczególnie straszliwy jest w masie. Jestem zaniepokojony masą. Może ona zabić. Trzeba się bronić przed jej zalewem... sztuką i ciągłym poszukiwaniem. Tworzeniem.*

Jest więc ta twórczość swoistą obroną przed grozą, przed tragicznością świata jest terapią, polegającą na wierze w to, iż wypowiadając siebie pisarz uzyskuje ów specyficzny kontakt ze światem, który pozwala przezwyciężać narosłe wraz z rozwojem kultury stereotypy, schematy i konwencje. Choć prawdę mówiąc — pisarz nie tyle wypowiada siebie, co podpatruje życie, przejmuje jakby funkcję kamery, która rejestruje, rozkładając jednocześnie zjawiska na czynniki pierwsze, na jakieś elementarne, niepodzielne już składniki życia. I tu uwaga! Leopold Buczkowski wyraża je nie przy pomocy pojęć, ale posługując się o b r a z e m. Nie zapominajmy bowiem, iż jest on również grafikiem i rzeźbiarzem. W niezrozumieniu tej cechy prozy Buczkowskiego tkwi jedna z przyczyn sporu.

Proza tu ukazuje *theatrum mundi*. Dosłownie: ukazuje, bo kryterium wzroku, spojrzeń, postrzeżeń, naocznych świadków zdaje się rozstrzygać — jeśli nie o wszystkim, to przynajmniej o sprawie podstawowej, o sposobie istnienia. O prawdziwości istnienia. Oko bowiem, zwłaszcza oko sprawne, wyćwiczone, nie kłamie. Tylekroć podkreślana przez krytyków zmysłowość prozy Buczkowskiego polega na wyraźnym uprzywilejowaniu zmysłu wzroku. Konsekwencją tego są ulubione role w *teatrze świata:* rola obserwatora, rola kronikarza (wymienna z rolą pilnie notującego sekretarza), rola zwiadowcy, rola śledczego i wreszcie niewdzięczna acz potężna rola szpiega. Ich współdziałanie i zwalczanie się dramatyzuje i w pewien sposób pomaga uporządkować bezgranicznie zdawałoby się chaotyczną relację Buczkowskiego. Relację, która staje się filozoficzno-historycznym traktatem o pojawianiu się i znikaniu. Uwierzytelnieniu owego traktatu służy dość niezwykłe posługiwanie się d o k u m e n t e m — wplatanie fragmentów (lub tylko stylizacja, a nawet parodia) dzieł, które w cywilizacji łacińskiej posiadają pewne znaczenie, a także utworów bez znaczenia, powiedzmy to otwarcie — przypadkowych. Przecież wytwory kultury, bez względu na jakość, stanowią określoną całość. Wchodząc w obieg — stają się własnością ogółu. Każdy więc dokument powinien inspirować. Choć na pewno z różną siłą. Zaś artyście nie wolno niczego lekceważyć, najmniejszego nawet przejawu zapisanej myśli, jeśli chce należycie spełnić swe zadanie, jeśli chce pobudzać czytelników do refleksji. Tę cechę prozy Buczkowskiego Andrzej Falkiewicz nazwał niepowtarzalną zasadą obiegu dokumentów.

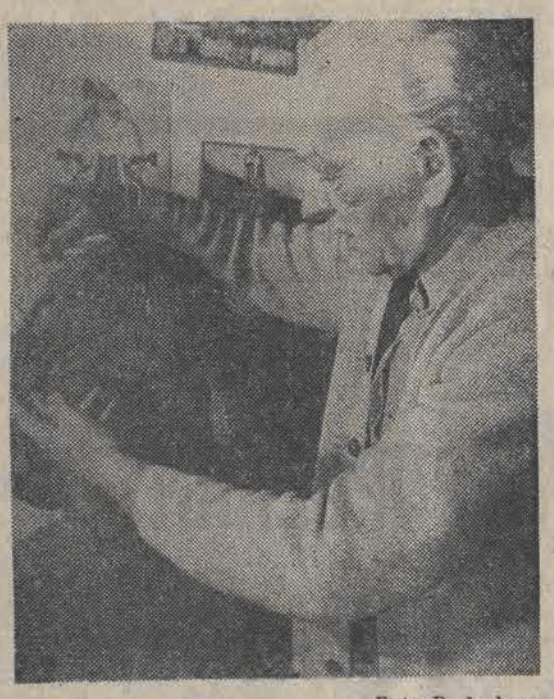

Foto P. Jaskow

Leopold Buczkowski oczarowany jest tajemniczością świata, od tej tajemniczości w każdej niemal chwili uzależniony, niewolny zatem od transcendencji. Wie doskonale o ograniczoności i względności wartości w ludzkim świecie, lecz z drugiej strony — jakżeż to zrozumiałe! — nie może wyzbyć się konieczności poszukiwania wartości ostatecznych, niezłomnych, niepodważalnych. Jest więc jego twórczość ustawicznym błądzeniem w ciemnym labiryncie życia w poszukiwaniu milowych kamieni (to właśnie owe *kamienie w pieluszkach*) wyznaczających drogi rozwoju ludzkości. Dotychczasowe dzieje nie są jednak godne pozazdroszczenia. Człowiek w utworach Buczkowskiego zdaje się być całkowicie zdeterminowany przez otaczającą go rzeczywistość, przy czym najczęściej jest to rzeczywistość wojenna, raz ściśle określona różnymi odniesieniami do wydarzeń pierwszej i drugiej wojny światowej, innym razem wydarzenia historyczne są ledwie czytelne i dość odległe. Historia w twórczości autora *Czarnego potoku* potrzebna jest głównie po to, by ukonkretnić zagrożenie człowieka przez człowieka, by pokazać owego zagrożenia niezmienność — niezależność w tym względzie od czasu i miejsca. Cytowałem na początku zdanie o melanżu językowym u Buczkowskiego, który w decydującej mierze ukształtował jego wrażliwość artystyczną, podobny melanż tworzą w powieściach fakty, zdarzenia i przypuszczenia bo nie może być przecież inaczej podczas chwytania przejawów życia in statu nascendi, podczas jednoczesnego oglądu wielu rozgrywających się spraw, przedstawianych metodą k o n t r a p u n k t u.

Żyjemy w świecie specjalizacji, wiedzy coraz bardziej rozczłonkowanej i zakresowo ograniczonej. Im bardziej nasza specjalizacja wnikliwa i cząstkowa, tym bardziej wzrasta w nas potrzeba syntezy, potrzeba wiedzy potrafiącej ogarnąć całość spraw i zjawisk. Pragnieniu temu twórczość Leopolda Buczkowskiego wychodzi niejako naprzeciw poprzez metaforyczne *scalanie* dokumentów, poprzez przygotowanie specyficznego materiału artystycznego, poprzez zestawianie w jednym miejscu najrozmaitszych sposobów komunikowania, poprzez poszukiwanie współbrzmień (zarówno semantycznych, jak i fonicznych), poprzez szukanie kamienia filozoficznego dla ujarzmienia sił przekraczających dotychczasowe możliwości literatury. A rezultaty? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi, bo przecież spór trwa.

III

Czy rzeczywiście Leopold Buczkowski jest pisarzem osamotnionym? I tak, i nie. Tak — bo jest to samotność poniekąd programowa, wyrażająca się bytowaniem poza literackimi centrami oraz wielce odrębnym sposobem tworzenia. Nie — bo wbrew pozorom wywiera i miejmy nadzieję, iż wywierać będzie coraz większy wpływ na autorów młodych. Potwierdzeniem tych słów niechaj będzie wiersz Bogusława Żurakowskiego pt. *Z Buczkowskim* opublikowany niedawno na łamach *Literatury:*

*Były rośliny — drzewa słońca,*
*Hej kudy oczi nesut.*
*Są kloce — wyobraźni materia,*
*W której rzeźbimy łeb dromadera.*
*I był Didu z Nakwaszy, dym*
*Z fajki, ballada o koszulkach królowej.*
*A są obrazy — okna zabite,*
*Deska barw, rysunek nadziei.*
*Była chwila — lato... Jest*
*Popiół pamięci. Słowa powieści*
*Bez początku, środka i końca,*
*Labirynt bez złotego klucza linearności.*

# Aleksander Błok

## (100 ROCZNICA URODZIN)

28 listopada minęła setna rocznica urodzin Aleksandra Błoka. Znaczenie jego poezji dla literatury światowej jest bezsporne. Niejedno pokolenie poetyckie pozostawało pod jego wpływem, wielu poetów rozpoczynało swoją drogę twórczą od pisania „pod Błoka". Największy rosyjski symbolista za życia wzbudzał tyleż zachwytów co sporów i nienawiści. Dopiero przedwczesna śmierć — umarł mając 41 lat — pogodziła zwaśnionych, wyznaczając autorowi „Dwunastu" należne miejsce w literaturze.

O Błoku napisano wiele. Ale pisać o poezji, to tak, jakby łowić odbite w oceanie gwiazdy. Pisać o poezji Błoka — to pisać o wiecznej tajemnicy piękna i życia. Dlatego dużo łatwiej byłoby mówić o nim jako o człowieku zawikłanym w sprawy tego świata, mówić o jego sukcesach i klęskach, zwątpieniach, trwogach, buntach i pragnieniu odwiecznej harmonii. „Poeta — pisał Błok — to syn harmonii, któremu wyznaczono określoną rolę w światowej kulturze. Ma on przed sobą trzy zadania: po pierwsze — wyzwolić dźwięki z ich rodzimego, bezładnego żywiołu, w jakim się znajdują; po drugie — połączyć te dźwięki w harmonię, nadać im kształt; po trzecie — wprowadzić tę harmonię w świat zewnętrzny". Te trzy zadania Błok wypełnił swoim życiem dokładnie i bez reszty.

Znane są związki Aleksandra Błoka z Polską, w szczególności z Warszawą, gdzie jego ojciec Aleksander Lwowicz ponad trzydzieści lat był wykładowcą na uniwersytecie, a pod koniec życia został dziekanem wydziału prawa. Rodzice poety żyli w separacji, później matka uzyskawszy rozwód, ponownie wyszła za mąż. Ojciec ożenił się także. Syn widywał go rzadko, później i to się skończyło. W listopadzie 1909 r. ojciec umarł. Aleksander Błok pojechał do Warszawy. Było mroźno, na cmentarzu na Woli sporo ludzi. Ojciec był człowiekiem apodyktycznym, porywczym, nie obliczalnym i patologicznie skąpym. Błok, mimo to notuje: „śmierć, jak zawsze, dużo wyjaśniła, wiele poprawiła i wiele zbędnego wykreśliła". Potem chodził po Warszawie i miasto wydało mu się ponure i tragicznie —ujarzmione (od września obowiązywał stan wyjątkowy). W dzienniku lapidarne notatki, świadczące o stanie poety: „Piłem", „Pijaństwo", „Nie poszedłem na mszę na cmentarz z powodu pijaństwa. „Włóczyłem się samotnie", „Śmiertelna tęsknota", „Piłem", „Akwarium", „Szampan", „Akwarium", „Delirium". Dalej inny zapis „z Polką". Okres warszawski znalazł swoje odbicie w poemacie „Odwet"

Aleksander Błok żył na przełomie dwu wieków, tworzył na przełomie dwu epok. Był jednym z pierwszych, którzy zrozumieli rewolucję i całym sercem ją zaakceptowali. W parę miesięcy po zdobyciu władzy przez lud, Błok pisze swoją tyleż słynną co demaskatorską replikę „Inteligencja i rewolucja". Zwolennicy „starej Rusi" odebrali ją jak trzęsienie ziemi, jak eksplozje tysięcy bomb. Jeszcze nie opadł kurz po tych wybuchach, a w końcu stycznia 1918 r. ukazał się poemat „Dwunastu". Błok ostatecznie spalił za sobą mosty łączące go z przeszłością. Większość przyjaciół-poetów zerwało z nim znajomość, inni — wręcz zaczęli unikać z nim spotkań. Pojawiły się pod jego adresem epitety „renegat", „zaprzedany bolszewikom", „talent organicznie bluźnierczy", „człowiek o psychologii niewolnika" itp. A generał Kołczak, pijąc herbatę w swoim obozie, mówił: „Gorki, a szczególnie Błok — to prawdziwe talenty. Mimo wszystko obu, jak tylko zajmiemy Moskwę, trzeba będzie powiesić".

Poemat „Dwunastu" zajmuje w radzieckiej literaturze szczególne miejsce. Na jego temat napisano wiele rozpraw jeszcze za życia poety, dziś pojawiają się coraz to nowe. Był to także poemat, który jako jeden z pierwszych utworów radzieckiej literatury, został przetłumaczony w Paryżu, Londynie, Berlinie, Brukseli, Amsterdamie, Warszawie, Budapeszcie, Sofii, Nowym Jorku, Meksyku, Pekinie, Tokio, Rzymie, Lizbonie i Jerozolimie.

Błok całkowicie poświęcił się pracy dla nowej władzy; uczestniczył w komisji zajmującej się wydawaniem dzieł klasyków, był członkiem kolegium redakcyjnego „Literatura światowa", pracował w teatrach... W owe dni notował: „Nalot aeroplanów na miasto", „W nocy — rewizja", „Rąbię meble", „Napalono w stołowym i w mojej sypialni", „Po kapustę", „Połamałem na opał szafkę — moje i mojej mamy dzieciństwo". Niestety, kastylskie źródło wyschło, Błok nie wrócił już do poezji.

Był chory, czekał spokojnie na śmierć. Lecz pracował do końca. Już przykuty do łóżka jeszcze poprawiał korektę „Ostatnich dni władzy imperatorskiej". Wyglądało na to, że poeta pragnie uporządkować swoje ziemskie sprawy, odejść niepostrzeżenie.

Zmarł nagle, 7 sierpnia 1921 r.

Kiedyś napisał: „Kiedy umrę — niechaj tylko znajdą się ręce, które potrafią przekazać produkty mojej pracy tym, komu są one potrzebne...".

EUGENIUSZ IWANICKI

## ZDARZENIA I ZWIERZENIA

# PUSTE SZUFLADY?

Ostatnio bardzo często przywołuje się zawołanie Artura Sandauera sprzed ćwierćwiecza. Wybitny krytyk urągliwie wołał w owym czasie, że szuflady okazały się puste. Osobiście trochę mnie dziwi ta Schadenfreude Sandauera, bo kto jak kto, ale on właśnie powinien nie tylko znać, ale rozumieć złożony mechanizm polityczny i psychologiczny sprawiający, że szuflady były wówczas puste.

Dziś zawołanie o pustych szufladach tak samo nie ma sensu jak dawniej — ale sytuacja jest nieco inna. Po prostu istnieje nieoficjalny rynek wydawniczy. Ponieważ jednak był on często związany z orientacjami politycznymi, które nie każdemu odpowiadały — miał swoją bazę twórczą mimo wszystko ograniczoną.

Nie ma więc nic dziwnego ani uwłaczającego w tym, że autorzy sygnują publikowane aktualnie utwory konkretną, acz minioną datą. Oczywiście niektórych to irytuje. Spotykam — na łamach prasy — kąśliwe uwagi na ten temat. Są to uwagi nie przemyślane. Czynią je zresztą najczęściej ci, którzy nie mają czego sygnować minioną datą, bo w minionych latach pisywali tylko teksty zyskujące oficjalną aprobatę. Nic więc dziwnego, że dziś dręczy ich poczucie niespełnienia podstawowego warunku działania człowieka pióra. To znaczy pisania z potrzeby serca i umysłu, a nie tylko z potrzeby wypełnienia normy wierszówkowej.

Czy nie ma prawa Stefan Bratkowski sygnować konkretną, wrześniową datą słów, które sformułował wówczas, gdy nie mógł ich jeszcze opublikować? A jakie to słowa: „Chodzi o demokratyzację partii, której półwojskowy system organizacji sprawdzał się w warunkach walki o władzę, ale dziś przekształcił się w feudalny system lenny, rządzony przez coś w rodzaju oligarchii magnackiej. Partia musi wykształcić również wewnątrzne mechanizmy samokontroli, by nie funkcjonować wedle reguły „co pięć lat zjazd, co dziesięć katastrofa".(...) Partia stanie się wówczas partią polityczną, która przestanie być stowarzyszeniem dla popierania błędów kierownictwa. (...) Potrzebujemy nadzwyczajnego zjazdu partii i rzeczowej, uczciwej, niehistorycznej dyskusji w duchu doświadczenia i przyszłości".

Powtarzam: słowa te sformułował Stefan Bratkowski na początku września. Czy nie ma prawa sygnować ich tą datą? To przecież też są słowa „z szuflady".

Teksty „z szuflady" publikuje dziś „Życie Literackie", wiersze „z szuflady" publikuje dziś prasa literacka — teksty sygnowane minionymi datami ukazują się w gazetach i czasopismach... Czy prawdziwi ludzie pióra nie mają do tego prawa? I czy kąśliwe uwagi na ten temat są na miejscu?

Oczywiście wiem, że kłania się tutaj stary Freud — to znaczy dojmujący, podświadomy żal do siebie, że się coś tam we własnym wnętrzu przegapiło, że się nie chciało — choćby tylko dla siebie samego — sformułować paru niezależnych, własnych refleksji. I zostaje się z pustą szufladą; albo gorzej — z szufladą pełną zżółkłych, nieaktualnych wycinków prasowych.

Stąd właśnie — z owego niepokoju o własną autentyczność — biorą się złośliwe uwagi o pustych szufladach — co jest po prostu nieprawdą, i stąd bierze się podświadomy żal, że inni jednak dysponują tekstami aktualnymi, choć opatrzonymi nieaktualną datą.

Jest to zresztą sytuacja w piśmiennictwie naturalna i znana od wieków. Pisanie „do szuflady" jest czynnością dla pisarza bardzo bolesną, ale jest to jednak jakaś możliwość. Kto z niej nie zechciał czy nie potrafił skorzystać — niech ma żal do siebie.

WIDOK

## TELEWIZJA

# O TROCHĘ OPTYMIZMU

„Należy nam się już trochę optymizmu" — westchnął Eugeniusz Pach w rozmowie z ministrem budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych, która odbyła się w ramach nowego cyklu „Studia 2" w sobotę 6 grudnia. Minister Jerzy Brzostek, a i zgromadzeni na konferencji dziennikarze, którym przewodził Maciej Wierzyński jakoś nie usłyszeli tej skargi animatora „Banku Miast". Bo czyż w przypadku budownictwa mieszkaniowego możliwy jest w chwili obecnej jakikolwiek optymizm? Do dziś pamiętam, zwłaszcza gdy słyszę tupania moich sąsiadów z góry, kassandryczną przepowiednię profesora Zina („Piórkiem i węglem" sprzed kilku tygodni), że bloki z tzw. wielkiej płyty wystoją jeszcze około trzydziestu lat, a potem na skutek korozyjnych procesów wszystkich łączeń... Nie kończę tej przepowiedni, bo chciałbym o niej czym prędzej zapomnieć. Już teraz nie wiem co lepsze — mieszkać w willi, mając nawet w perspektywie wizyty NIK, czy też w bloku, który ma się za ileś tam lat zawalić.

Co tu zresztą przerażać się odległą, jakby nie było, przyszłością, kiedy i teraźniejszość też nie jest do narysowania piórkiem. Ledwo wyprostowałem się w fotelu, w który wcisnęła mnie wiadomość o trzęsieniu ziemi w Piotrkowie, a tu już — „celnicy gdyńscy znaleźli heroinę wartości kilkunastu milionów dolarów". Byłaby to informacja optymistyczna, myśląc o naszych zadłużeniach, gdyby nie dopowiedzenie, iż w Polsce ów przemyt jest bez wartości. Muszę się przyznać, że gdy zaczyna migać plansza Dziennika Telewizyjnego, coraz częściej mam ochotę zasłaniać oczy i zatykać uszy. Nawet nadzieja, że wiadomości sportowe będą jakimś wytchnieniem, przestaje mieć rację bytu. Dziennikarze sportowi, chcąc w sposób zdecydowany włączyć się do procesów odnowy, wywołali aferę, od której mi cierpnie skóra jeszcze dzisiaj. Incydent z Okęcia (jakie przybrał rzeczywiste formy, mówił o tym Zbigniew Boniek w rozmowie z Markiem Madejem w łódzkich „Wiadomościach") wywołał u warszawiaków niepohamowany atak Schadenfreude. Telewizja, powtarzając „kawałek" cinema verité autorstwa redaktora Gucwy bodaj dwukrotnie, teraz coś zamilkła i nie jest skora do przedstawienia nagranej przed kilkoma dniami rozmowy ze Zbigniewem Bońkiem. Obiektywizm nigdy nie był mocną stroną sprawozdawców sportowych z TvP. Ostatnia „afera" to spostrzeżenie całkowicie potwierdza. Odnowa, proszę panów, to nie tania sensacja, ale rozważenie problemów polskiego sportu, takie jakie one są — a ich źródeł należy szukać w gabinetach zarządów i prezesów, na posiedzeniach zwyczajnych i nadzwyczajnych, w decyzjach, w których sportowca traktuje się jak mechaniczną zabawkę do nakręcania. Między innymi.

Ledwo ucichła sprawa „kawalerów maltańskich" (Schlagwort Bogusława Kukucia), a tu niejaki Perka porywa sobie samolot. I jak tu z lekkim sercem oglądać Dziennik! Nie mówię przecież o innych sprawach, dalece ważniejszych. Niechaj nimi zajmują się publicyści z pierwszych stron naszych gazet. Redaktorzy Dziennika TvP tak rozdzielają wiadomości, że jego ostatnie wydanie, jest nie tylko skrótem z emisji o 19.30 ale i przynosi informacje, na które warto czekać do północy, nie dlatego, iż takie pocieszające, ale dlatego, że przynosi.

Nawet finał „Dnia Meksykańskiego" uwieńczono filmem, którego bodaj żebyśmy nie oglądali. „Przepowiednia" Luisa Alcoriza według tekstu autorstwa Gabriela Garcii-Marqueza okazała się filmem okrutnym, mrocznym i całkiem pesymistycznym. Ano jak czyściec, to czyściec.

Taki czyśćcowy, jak się rzekło, charakter miał również film Kazimierza Kutza. Oglądałem tę trzecią część cyklu śląskiego po raz pierwszy. I na tle poprzednich części, które choć nie przyniosły reżyserowi takich festiwalowych laurów jak „Paciorki jednego różańca", wydaje się ów film wielostylową anegdotą publicystyczną o uproszczonej motywacji socjo-psychologicznej. Nie będę tej umiarkowanej opinii argumentował. Film był recenzowany na wszystkie strony. Dla mnie, telewizjomana, miłą niespodzianką był fakt, że pokazano „Paciorki" w kilka miesięcy po ich kinowej premierze. Sądzę, iż w przypadku wielu polskich filmów czekanie z ich projekcją w telewizji aż pięć lat od czasu debiutu na dużym ekranie (niby chodzi o wpływy kasowe) jest szkodliwym formalizmem. Zresztą telewizja też płaci, a ważna przede wszystkim jest widownia. Film Kutza, aby zgromadzić w kinach tych kilkanaście milionów widzów, które zasiadło przed telewizorami w środowy wieczór, musiałby być wyświetlany na dużych ekranach całe dziesięciolecia. A cokolwiek by o nim sądzić, wart jest oglądania. I to teraz kiedy jest aktualny.

Łódzki Ośrodek TvP, w miejsce „Przebojów tygodnia" (to akurat pal sześć) i kolejnego odcinka z cyklu „Życie na Ziemi" (tu trochę szkoda), przedstawił swój lokalny blok programowy, poświęcony w całości retransmisji konferencji prasowej z prezydentem naszego miasta. Nie wiem czy to zasługa logiki prezydenta Niewiadomskiego, jego zracjonalizowanych wypowiedzi, czy też trafiających w sedno ważnych spraw pytań dziennikarzy, ale objaśnienia, których wysłuchaliśmy napawają umiarkowanym optymizmem. Tu zatem swój tekst skończę, bo rzeczywiście może należy nam się już trochę optymizmu.

GRZEGORZ GAZDA

## PROPOZYCJE

# NIEPOPULARNY TEMAT

Zwierzył się ktoś niedawno publicznie, że bardzo by chciał, aby nie wszyscy byli za odnową, żeby ktoś choć z przekory próbował udawać, że jest konserwatystą. A przecież konserwatystów jest wielu, takich, którzy tego nie muszą udawać, a którzy — wręcz przeciwnie — deklarują, że są za odnową, a robią wszystko, aby jej tylko nie było. Pewien mój znajomy wszedłszy na zebranie w sprawie odnowy, powiedział: — o widzę, że jesteśmy w starym gronie! I nie było w tym wiele przesady. Dziś wszyscy są za odnową, choć nie wszyscy jednakowo ją rozumieją. Ale to jest naturalne. Dziś silniej niż kiedykolwiek brzmi podstawowa prawda, że jak dwóch mówi to samo, to wcale nie znaczy to samo.

Postanowiłem zrobić sobie mały odpoczynek od spraw wielkich i zająć się sprawami małymi. Niektórymi obyczajami naszych rodaków. Wiem, że temat to niepopularny. Dziś nakazem chwili jest zajmowanie się obyczajami władzy. Wszyscy w koło władzę krytykują. Tacy zrobiliśmy się odważni. Ale władza może być silna wbrew obywatelom, demonstrując swoją siłę na ich karkach. I może być silna świadomością obywateli, kiedy między jedną, a drugą stroną nie ma do końca zgodności poglądów, ale jest płaszczyzna dyskusji. Obie strony wtedy szukają porozumienia. Jest to bardzo trudne, ale niektórzy powiadają, że możliwe. Myślę, że warto spróbować.

Ale to jeszcze nie są te sprawy, o których chciałem pisać, choć też niepopularne. Chciałem pisać o kolejkach. Jadę taksówką. Mijamy jakąś długaśną kolejkę. Kierowca taksówki wzdycha:

— Panie, ludzie tak się do tych kolejek przyzwyczają, że jak już wyjdziemy z tego cholernego kryzysu, to też będą stali w kolejkach nadal. Z przyzwyczajenia.

Stanie w kolejce nie jest przyjemnością. W sklepach półki są puste. Wykłada się je czym tam tylko można. Ustawia się piramidy konserwowego groszku, soku pomarańczowego, gwiazdki na choinkę, blaszane pudełka z herbatą. Jak się tylko jakiś towar pokaże, to nie ma nawet czasu, aby go rozpakować. Zaraz się kolejka ustawia i ludzie kupują prosto z pudła. Raz, dwa, trzy i po wszystkim.

— Co tak wszystko nagle z półek poginęło? — pyta chudy wysokiego.

— Zapasy robią — na to mu wysoki.

— Po co?

— Jak to, po co? — dziwi się wysoki. — Każdy dobry gospodarz robi zapasy na zimę, bo przecież zimą może być gorzej. Daj teraz ludziom wszystko, a wszystko wykupią. Lepiej więc, żeby zapasy były w państwowych magazynach niż u ludzi.

Chudy kiwa z powątpiewaniem głową. Wysoki go nie przekonał. Ale idą dalej.

Ludzie kupują wszystko. Jedni dlatego, że jest im to potrzebne. Inni na wszelki wypadek. Pewna pani chwaliła się memu znajomemu, że ma w lodówce 20 kg masła, a za szafą 40 butelek spirytusu. Na wszelki wypadek. Mąki też ma kilkadziesiąt kilogramów. Jej zima niestraszna. Innym tak, bo dzięki tej „zapobiegliwości" nie dostali tego i owego, czyli masła, mąki i innych produktów, które były im potrzebne nie do robienia zapasów, ale do... zrobienia obiadu czy choćby kolacji. Śmieszne — prawda?

Wiem, że to wszystko, co się na ten temat powie, czy napisze, nie ma większego sensu, bo w końcu ludzie nie apeli słuchają, ale działają wedle pewnych mechanizmów. Młodzież może dziś tego już nie pamięta, bo się czasy wszakże zmieniły mimo wszystko, ale kiedyś tak bywało, że jak tylko rosło gdzieś napięcie na świecie i groziło konfliktem zbrojnym, to ludzie natychmiast wykupywali cukier, sól, mąkę. Dlaczego teraz nie mają robić zapasów? Jeśli im się to tylko udaje. A niektórym się udaje.

Niektórzy publicyści przeciwni są twierdzeniom, że my się musimy nauczyć wielu rzeczy, między innymi demokracji, solidarności, rozsądnego działania, dyscypliny. Uważają, że takie pisanie to pisanie przeciw odnowie. Jestem innego zdania. Życie bowiem nieustannie pokazuje, że musimy się tego nauczyć i to na trwałe, aby nigdy nie zapomnieć i nie pozwolić sobie dać zapomnieć, jak to już wielekroć bywało. Ażeby czegoś nie zapomnieć — uczyło się o tym w szkole i zapomniało niestety — to trzeba powtarzać, trzeba w praktyce stosować, trzeba ćwiczyć. I to nie raz w tygodniu, nie raz w miesiącu, nie raz w roku, nie raz na dziesięć lat, ale stale, codziennie. Innego sposobu nie ma. Ot i wszystko.

Uczmy się więc społecznego myślenia, które jest przeciwieństwem wszelkich postaci egoizmu. Niepopularne to, ale konieczne.

MARCIN RODAK

## ZAMIAST RECENZJI

# KOŁA ZBLIŻONE DO ŹRÓDEŁ

Ledwo weszliśmy do foyer, a już zderzyliśmy się z inżynierem Bełtem.

— *Ach to państwo* — wycedził przez zaciśnięte zęby — *czyżby dzisiaj* — tu spojrzał wymownie na moją Narzeczoną, która narzuciła na siebie turkusowofioletową kapę z łóżka mojej Ciotki — *dawano znowu coś awangardowego?*

— *Zapowiedziano jedynie program-niespodziankę* — odparłem.

— *Ach, moi drodzy* — podbiegła do nas doktorowa Dużogorsza — *wracam właśnie z pokoju artystów. Podobno już niedługo coś zostanie wykonane. Nikt jeszcze nie wie co, ale to pewne. Lecę do szatniarek, bo one podobno twierdzą zupełnie coś przeciwnego. Pa!*

Podeszłyśmy do bufetu. Moja Narzeczona zamówiła koktajl z krewetek.

— *Czyżby tu prowadzili coś takiego?* — zdziwił się ciężko inżynier Bełt.

— *Widzę, że pan nie jest na bieżąco!* — zaśmiała się dziko Narzeczona. — *Koktajl z krewetek uzyskał główną nagrodę na międzynarodowych targach i został zakontraktowany przez wszystkie kraje biorące udział* — to mówiąc, wyciągnęła ze szklanki pełnej zielonej brei raczka wierzgającego kilkoma parami odnóży.

— *Ależ ja naprawdę staram się iść z duchem czasu* — zawołał oburzony inżynier — *nie wykupiłem nawet w tym miesiącu migawki na tramwaje.*

Narzeczona popatrzyła na niego z obrzydzeniem, spowodowanym być może rozgryzieniem krewetki, po czym z właściwym sobie wdziękiem zmieniła temat.

— *Peruka się panu przekrzywiła. A powiedział poeta: nawet największe wąsy nie zasłonią łysiny.*

— *To niesłychane* — roztrąciła nas obfitym biustem doktorowa Dużogorsza — *szatniarki mówią, że nic, ale to zupełnie nic nie zostanie wykonane, chociaż (lecz, błagam, proszę to zachować dla siebie) pewna dość bliska znajoma ciotecznego brata dyrektora administracyjnego zwierzyła mi się, że jednak są pewne nadzieje. Kochani, nie zatracie ich. Pa! Lecę do stałych bywalców.*

— *No* — odetchnął z ulgą inżynier Bełt — *w ten sposób przynajmniej wiemy, co jest grane.*

— *Jeżeli ktoś coś o tym wie, to tylko ja* — usłyszeliśmy obok głos mojej Ciotki.

— *Ciocia tutaj* — zawołałem ze zdumieniem — *przecież zostawiłem ją cierpiącą!*

— *To wstrętne z twojej strony* — rzekła — *ale odstawiłam wszystkie lekarstwa i od razu poczułam się lepiej. Wybaczam ci.*

— *Zdaje się, że ciocia wyszła z domu, jak stała* — powiedziałem, przypatrując się pluszowej portierze, którą owinęła się ciasno, obwiązując plecionym sznurem z kutasem.

— *Od dzisiaj, mój drogi, obowiązuje skromność. Zagranica donosiła o tym tydzień temu. Chodźmy na salę. Zapewniam was, że w końcu będą coś grać.*

— *O przepraszam, bardzo przepraszam* — rzuciła się na nas doktorowa Dużogorsza, wręczając dyskretnie niewielkie karteczki — *chyba ja najlepiej wiem, co się dzieje. Być może, ale powtarzam, być może coś usłyszymy. Właśnie wracam z pokoju relaksowego sprzątaczek. Mówi się, ale to wiadomość jeszcze oficjalnie nie potwierdzona, że będziemy słuchać radia. No to na razie.*

— *A te kartki* — krzyknął z przerażeniem inżynier Bełt.

— *To są bon-tony uprawniające do stania w jutrzejszych kolejkach, ale powtarzam* — dodała złowrogim szeptem — *w jutrzejszych!*

Pogroziła nam palcem i już jej nie było.

— *I co z tego* — skrzywiła się moja Narzeczona, spryskując się dezodorantem marki faun — *przecież każdy może słuchać radia w domu.*

— *Zapomina pani* — zawołał inżynier Bełt, machając z oburzeniem rękami — *o mechanizmach zbiorowych!*

— *Tego już się nie nosi* — odparła z nie ukrywaną wyższością Narzeczona.

— *Każda moda, moje dziecko* — zwróciła się do niej Ciotka — *miewa swoje nawroty. Za moich czasów, na przykład, mocno ściskano się w pasie. I co...? Wróciło.*

— *Jestem zupełnie rozluźniony* — oświadczył inżynier Bełt.

— *Tym gorzej dla pana* — zauważyła triumfalnie Narzeczona — *mówiłam przecież, że nie jest pan na bieżąco.*

Przeszliśmy do sali koncertowej. Publiczność siedziała już na miejscach gryząc palce ze zdenerwowania.

— *To przechodzi ludzkie pojęcie* — powiedziała moja Ciotka lornetując loże i balkon — *sami znajomi. A tak mnie zapewniali, że zrezygnują z abonamentów w tym sezonie. O mały włos, a dałabym się wywieść w pole tym snopom.*

— *Chciała ciocia powiedzieć: snobom* — szepnąłem.

— *To po angielsku* — odparła z godnością — *inaczej się pisze, inaczej się czyta.*

Już mieliśmy zajmować swoje krzesła, gdy z tętentem nowych kozaczków (z ostrogami) wpadła na salę doktorowa Dużogorsza.

— *Niesamowite* — wydyszała, wieszając się mnie i inżynierowi na rękawach — *trębacze zastrajkowali. Instrumenty mają, mówię wam, kompletnie zużyte, a grubych rur nie dowieźli.*

— *Nie będą dąć?* — zdziwiła się moja Ciotka, sadowiąc się wygodnie i wkładając korki do uszu. — *Szkoda... Teraz będzie wszystko słychać, co się mówi.*

— *Nareszcie* — ucieszył się inżynier Bełt — *czegoś się dowiemy.*

Moja Narzeczona popatrzyła na niego z wrodzonym niesmakiem.

— *Pan jednak zupełnie nie nadąża za duchem czasu. Teraz się już nie słucha, tylko gada.*

JACEK KRAKOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Infor RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto meraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów NBP XV odd. lat w Warszawie nr 1153 201045-139, prenumerata ta jest droższa od i urzędy pocztowe. Cena prenu- wy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2756. G-2.